
MICHAŁ BAJO
GAIA
SERCE ŚWIATA

Michał Bajo

Gaja

Serce Świata

ISBN: 978-83-960577-3-0

Copyright © Wydawnictwo Aora,
Gaja – Serce Świata, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie I

ISBN: 978-83-960577-1-6

www.aora.pl

facebook.com/wydawnictwo.aora

instagram.com/aora.pl

tiktok.com/wydawnictwo.aora

Życie jest światłem,
które natura odbija w nieskończoność.

Prolog

Przed Tobą znajduje się owoc wieloletniego przygotowania, poszukiwań i mojej wewnętrznej przemiany.

"Gaja" narodziła się z potrzeby zrozumienia naszego miejsca w świecie natury – nie łagodnej i malowniczej krainy, ale tej prawdziwej, pierwotnej, często wymagającej.

To opowieść o początku wszystkiego, co znamy i co ma dla nas właściwe znaczenie – o źródle, z którego wszyscy pochodzimy i do którego instynktownie tęsknimy.

Przez lata nosiłem w sobie tę historię, zanim odważyłem się ją spisać.

Kilkakrotnie zaczynałem i nie kończyłem, a przez to jak wymagająca się okazywała, na zmianę wierzyłem i wątpiłem czy kiedykolwiek uda mi się ją wydać.

Ostatecznie zmieniła mnie, zanim zdecydowałem się podzielić nią z Tobą. Właśnie z tego powodu nie potrafię traktować jej jak kolejnego swojego tytułu. To coś znacznie głębszego, co, jak wierzę, szybko dostrzeżesz.

Wędrówka, którą rozpoczynasz, nie będzie łatwym spacerem. Poprowadzi Cię przez tereny, które mogą budzić niepokój, dotykać czułych wspomnień i wywoływać łzy. Nie bój się ich – każda emocja, którą poczujesz, została tu zapisana z intencją. Nic nie jest przypadkowe.

Historia Gai to lustro, w którym razem się przeglądamy. Jej droga odzwierciedla ścieżkę, jaką wszyscy wędrujemy od najwcześniejszych lat naszego życia.

W jej losie odnajdziesz echo własnych doświadczeń, pytań, które stale nosisz w sercu, i odpowiedzi, których może nadal szukasz.

Nie powstała po to, by zachwycać pięknymi słowami, a by obudzić to, co w nas uśpione przez codzienny pęd.

Wszystkie zdania w tej opowieści zostały zapisane, by przypomnieć o odpowiedzialności za życie, które wspólnie tworzymy – nie tylko czynami, ale i myślami.

Jeśli którykolwiek fragment opowieści poruszy Cię choć odrobinę – jeśli poczujesz ścisk w gardle, łzę w oku lub nagłe olśnienie, będzie to oznaczało, że dotarłem dokładnie tam, dokąd zamierzałem – do sedna naszej wspólnej natury, do którego wciąż potrafimy sięgać, pomimo przytłaczających cywilizacyjnych wyzwań, w jakie sami daliśmy się wpędzić.



1. Trzy serca

Gdyby ktoś wyobraził sobie miejsce zapomniane przez czas i żywioły, ujrzałby głuchą pustkę pozbawionej nadziei otchłani. Rzeczywistość, w której cisza jest tak głęboka, jakby wchłaniała każdy dźwięk, zanim jeszcze zdążył się narodzić.

Takie miejsce istniało dawno temu. Rozciągała się w nim popękana, wysuszona ziemia – spalona słońcem i rozszarpywana wiatrem. Otaczały ją szare, ostre skały, jak gdyby wyrwano je wprost z wnętrza planety. Trwały nieruchomo, nosząc w sobie tragedię tak wielką, że niemal zatarła historię tego miejsca.

Gdzieniegdzie można było dostrzec wysuszone i połamane drzewa, ale nie było tam już żywej ani rozwijającej się roślinności. Nie rosła trawa, nie wiły się pędy, nie szeptały liście. Zamiast tego – stały samotne pnie, wyschnięte i powykręcane, próbujące bronić się przed czymś, czego nie dało się zatrzymać. Zbyt silne, by umrzeć… i za słabe, by żyć w pełni. To były tylko pozostałości po tym, co kiedyś oddychało.

A jednak w tym ponurym krajobrazie znalazł się jeden samotny punkt życia. Mały domek, którego istnienie przeczyło logice. Zbudowany z jasnych, surowych

kamieni, połączonych gliną i wygładzonych wprawionymi dłońmi.

Drewniane okiennice były ozdobione prostymi znakami, jak zaklęcia mające odpędzić pustkę za progiem.

Dach pokrywały ciężkie, płaskie płyty kamienne. Nie były idealnie dopasowane, ale wyglądały solidnie.

Obok chatki stała niewielka studnia – jedyne źródło wody w całej okolicy.

W środku mieszkały trzy osoby: rodzice i ich kilkuletnia córka. Ich życie było proste, ale każde z nich niosło w sobie coś niezwykłego, co pozwalało im przetrwać w tej ciężkiej rzeczywistości.

Ojciec – Kaon – miał silne ramiona i spokojne, czujne spojrzenie. Jego czarne, lekko potargane włosy przysłaniały nieco zmęczoną i opaloną twarz. Był twórcą i obrońcą. Potrafił zrobić coś z niczego, a jego narzędzia i wynalazki zdawały się powstawać ze zrozumienia tej trudnej rzeczywistości.

Ich dom, zbudowany kamień po kamieniu, był jego dziełem. Zapewniał rodzinie bezpieczeństwo i ciepło. Cechowały go zaradność i odwaga, ale miał też w sobie łagodność, która dawała ukojenie bliskim.

Każdego ranka, zanim jeszcze wyszło słońce, obchodził dom, sprawdzając dłonią szczeliny między kamieniami murów, stabilność studni i szczelność dachu.

Robił to z niezmiennym zaangażowaniem, jak ktoś, kto potrafi rozmawiać z każdym elementem schronienia jego rodziny. Stworzył z tego swój rytuał, sposób na utrzymanie porządku w chaosie, który czaił się za progiem.

Matka – Reya – była przeciwieństwem surowego krajobrazu. Miała w sobie ciepło, niczym ogień w kominku, przy którym co wieczór lśniły jej długie, falowane włosy. Spokojne spojrzenie i czuły głos potrafiły uciszyć każdy lęk.

Choć zajmowała się codziennymi wyzwaniami, zawsze znajdowała czas na to, czego potrzebowali jej najbliżsi. Dla niej nie było podziału na obowiązki i miłość. Było jedno – troskliwe bycie razem.

Reya również miała swoje obrzędy. Przed zmierzchem zamykała okiennice, szepcząc ciche słowa – nie modlitwę, lecz coś na kształt zaklęcia albo obietnicy. Przy ogniu często milczała i zamykała oczy, wsłuchując się w język płomieni. Można było odnieść wrażenie, że to właśnie z nich czerpała spokój, którym na co dzień dzieliła się z rodziną.

Owocem miłości Reyi i Kaona była dziewczynka o imieniu Gaja. Jej głębokie, zielone oczy przypominały o lasach, jakie niegdyś porastały tę wysuszoną ziemię. W blasku jej spojrzenia splatały się dziecięca radość i

ciekawość, niosąc obietnicę lepszego świata. A gdy się poruszała, nawet martwy krajobraz zdawał się ożywać.

Każde z nich nosiło ubrania uszyte przez Reyę z tego, co udało się znaleźć. Były skromne, ale wyjątkowe i stworzone z troską.

Życie rodziny przebiegało z pozorną rutyną. Powtarzalne dni, powielane czynności, utrzymywały jednak atmosferę tajemniczości, unoszącą się nad nimi.

Nie było wokół nikogo. Żywili się owocami, które pojawiały się na ich stole jak dar – nikt ich nie uprawiał, a jednak zawsze trafiały do ich domu, przynoszone z oddali raz przez Kaona, raz przez Reyę. Mówili, choć nie było jasne, kto nauczył ich słów. Oddychali, choć nie widzieli wokół drzew, pili wodę, choć w jakiś sposób musieli znaleźć jej źródło pod ziemią.

Nikt nie zadawał pytań. Żyli, jak gdyby ktoś wskazał im drogę… jakby znali zupełnie inny porządek, który był dla nich drogowskazem w tej niezwykle trudnej rzeczywistości.

Pewnej chłodnej nocy, gdy wiatr gwizdał, przeciskając się przez szczeliny dachu, a księżyc skrył się za chmurami, Gaja nagle zerwała się z łóżka.

– Mamusiu! – zawołała roztrzęsiona.

Reya podbiegła natychmiast.

– Co się stało, kochanie? – zapytała, chwytając rękę córki.

– Znów miałam koszmar. Śnił mi się potwór! Miał cztery łapy, ogon i wielkie zęby!

Kaon, stojąc za Reyą, spojrzał na nie z lekkim uśmiechem.

– Coś ci zrobił? – zapytał.

– Stał i gapił się na mnie! A potem… potem polizał mi policzek.

– To chyba nie był potwór, skoro cię tylko polizał – zaśmiał się tata.

– Przestań – zganiła go Reya. – Widzisz, że jest przestraszona.

– To… tylko wyobraźnia – powiedział Kaon, ale zawahał się… jakby sam nie był pewien swoich słów.

Dziewczynka spuściła wzrok, po chwili wyszeptała:

– Ale ja już go widziałam... wcześniej.

Kaon spojrzał na Reyę. W jego oczach było coś, czego nie wypowiedział na głos. Cień wiszący między nimi od dawna i przypominający o koszcie daru, który nosiła w sobie ich córka.

– Spokojnie, córeczko – szepnęła mama, przytulając ją. – Może on wcale nie jest potworem. Może pilnuje cię, gdy śpisz. Myślę, że możesz mu zaufać.

– Naprawdę?

– Naprawdę…

Gaja wtuliła się do mamy, zamknęła oczy i zasnęła – bez lęku, jakby jej słowa były zaklęciem, które na chwilę oddaliło cień.

Rodzice jeszcze przez chwilę stali przy jej łóżku, trzymając się za ręce. Nie mówili nic – nie musieli. Wiedzieli, że każde słowo byłoby zbyt głośne w tej kruchej ciszy.

Magia tej rodziny nie była żadnym czarem. Nie potrzebowali wyniosłych zdań ani znaków, by ją przywołać. Polegała na prostych gestach – na tym, że potrafili odnajdywać sens tam, gdzie dawno zgasła nadzieja.

Samotni z pozoru, wspólnie tworzyli pełnię. Ich świat był mały, ale prawdziwy. Każdy gest, każdy rytuał był aktem wiary w to, że gdzieś głęboko pod popękaną skorupą ziemi wciąż bije niegasnące źródło, które pewnego dnia wybije pełnią życia.



2. Przybysz

Gaja obudziła się bardzo wcześnie, zanim jeszcze promienie słońca przebiły się przez chmury. Coś ją tknęło – cichy dźwięk podobny do szelestu albo oddechu. Podeszła do drzwi i niepewnie wyjrzała przez szczelinę.

Na zewnątrz, tuż przy studni, poruszało się jakieś stworzenie. Nie było duże, mniej więcej jej wzrostu. Miało cztery łapy, długi zarośnięty ogon i... naprawdę duże zęby.

Wystraszona Gaja cofnęła się o krok, niefortunnie szurając nogą o ziemię, czym zwróciła jego uwagę. Nieznajomy przybysz podniósł głowę i spojrzał na nią. Nie warczał i nie szczerzył zębów. Patrzył jedynie i wolno poruszał ogonem.

– Mamusiu... – wyszeptała, nie odrywając wzroku.

Reya, widząc niepokój córki, stanęła za nią i spojrzała w tę samą stronę. Choć była zdumiona, na jej twarzy trudno było dostrzec lęk.

– Spokojnie, Gaju – wyszeptała. – Nie wygląda, żeby chciał cię przestraszyć. To nie potwór, na pewno nie zrobi nam krzywdy.

– Ale... ja go znam... śniłam właśnie o nim. Miał te same wielkie zęby…

Mama dziewczynki ostrożnie uchyliła drzwi, chcąc sprawdzić reakcję stworzenia. To odebrało jej gest jako zachętę i po chwili, z wyraźnym zaciekawieniem, podeszło nieco bliżej.

Gaja zamarła z przerażenia. Przytuliła się mocno do Reyi i zamknęła oczy. Krótko po tym poczuła, że... coś polizało jej rękę.

Niepewnie rozchyliła powieki i odchylając głowę, ujrzała ucieszone zwierzę. Choć wciąż czuła strach, delikatnie się uśmiechnęła.

– Tak jak w moim śnie! – krzyknęła z przejęciem.

Mama, choć spokojna, była również wyraźnie zaintrygowana zdarzeniem.

– Córeczko... to chyba nie był tylko sen – powiedziała.

– Jak to?

– Czasem to, co myślimy, staje się prawdziwe. Wyobraziłaś go sobie i najwyraźniej poczułaś, że go potrzebujesz, a teraz jest tu z nami. To ty go do nas przyprowadziłaś.

– Ale co to jest? – zapytała Gaja.

– To pies – odpowiedział Kaon, który właśnie do nich dołączył. – Dobrze znamy takie stworzenia z mamą.

Gaja przyjęła słowa ojca jako oczywistość. Choć nie rozumiała ich do końca, nie miała potrzeby dopytywać o szczegóły.

Zrobiła krok w stronę stworzenia i schyliła się, niepewnie zaglądając mu w oczy. Jego uszy opadły lekko do tyłu, a ogon wciąż merdał, choć teraz jeszcze wolniej, bardziej niepewnie.

– Pies... – powtórzyła.

Zwierzę nie uciekało. Przeciwnie – zbliżyło się bardziej i tym razem polizało ją po twarzy, co wywołało głośny śmiech całej trójki.

– Myślę, że go lubię – powiedziała szczęśliwa.

Gdy krótko później dziewczynka wróciła z rodzicami do domu, zwierzę zostało przed nim, wiernie czekając na kolejne spotkanie.

W ten sposób w miejscu, gdzie po zamknięciu wejściowych drzwi panowała jedynie martwa cisza, pojawiło się radosne życie.

Kolejne dni mijały w atmosferze niepewności i badania reakcji po kolejnych kontaktach z tajemniczym przybyszem.

Początki znajomości Gai ze zwierzęciem były nasycone niepokojem dziecka, ale i zwiększającym się z każdym dniem zaufaniem.

Szybko odkryła, że pies w pewien sposób odpowiada na jej nastroje. Kiedy była smutna, kładł głowę na ziemi

i wzdychał głęboko. Gdy się śmiała, podskakiwał wokół niej, poszczekując cicho.

Im dłużej go znała, tym częściej przekonywała się, że w jego zachowaniu jest coś niezwykłego i niewytłumaczalnego. Nie był jedynie nowym źródłem życia, które pojawiło się w pobliżu. Stał się towarzyszem, żyjącym razem z nią. Istotą pełną zaufania i cierpliwości. Otwartą na jej świat tak, że wręcz nie wyobrażała sobie już innego.

Pewnego dnia, gdy siedziała przed domem, pomyślała, że mógłby podejść bliżej. Ten, leżący kilka kroków dalej, jakby usłyszał jej niewypowiedziane życzenie – podniósł się i po chwili usiadł tuż obok niej.

Niezależnie od tego, co chciała Gaja, pies nie odstępował jej na krok. Była tym zmieszana, czasem nawet nieco zirytowana. Kiedy siadała, on siadał obok. Gdy wstawała, podążał za nią. Zawsze cicho i blisko.

Nie ufała mu jeszcze, wciąż zachowywała dystans. Wydawał się obcy, inny i zbyt obecny. A jednak jego spojrzenie dawało jej pewien spokój. Czuwał przy niej, sprawiając wrażenie, że od pierwszych chwil była dla niego najważniejsza na świecie.

Z czasem zaczęła się jednak oswajać. Chociaż wciąż czuła przed nim pewien lęk, prawie już tego nie okazywała. Od czasu do czasu, jedynie zaciskała usta, kiedy zbliżał się za bardzo. Potem stał się na tyle bliski,

że nie przeszkadzał jej nawet leżąc przy jej posłaniu. W jego obecności spało się jej spokojniej. Stał się wyjątkowo wyraźnym elementem każdego dnia.

Pewnego popołudnia wybrała się z nim na krótki spacer, lecz ten zachował się inaczej niż zwykle. Zamiast iść za nią krok w krok, zatrzymywał się co chwilę, patrząc w głąb pustkowia, jakby dostrzegał tam coś, czego nie widziała Gaja.

W końcu szczeknął radośnie i zrobił kilka kroków w kierunku, w który nigdy nie wędrowali sami. Dziewczynka w pierwszej chwili zawahała się, ale tuż po tym zwyciężyła w niej ciekawość. To był jej pierwszy krok w nieznane, gdzie pies stał się jej przewodnikiem.

Krótko potem zawrócili. Nie liczyło się, że nie poszli daleko. Ważne było wspólne przełamanie granicy. Pamiętny moment, który na zawsze należeć będzie tylko do nich.

W poczuciu ciągłego budowania zaufania, stawali się sobie coraz bliżsi, jednak niczego między nimi jeszcze nie nazwano. Nie było jeszcze obietnic i przyjaźni, choć z każdą chwilą, coraz wyraźniej zaznaczała się ich więź.

Pewnego ranka Gaja obudziła się nagle – coś było nie tak. Jeszcze zanim otworzyła oczy, wewnątrz siebie poczuła pustkę.

Zerwała się szybko z posłania i nerwowo przetarła oczy.

– Psie? – zawołała. Raz. Drugi. Cisza.

Wybiegła na zewnątrz i zakręciła się nerwowo wokół domu.

– Gdzie jesteś?! – krzyknęła głośniej, z nutą złości, której sama się nie spodziewała.

W końcu stanęła w progu, zacisnęła pięści i tupnęła nogą.

– Nie wolno ci tak znikać… nie możesz! – syknęła do nikogo.

Poczuła żal, choć nie rozumiała, co ją bardziej bolało – że go nie ma, czy że... poszedł gdzieś bez niej.

W pierwszej chwili chciała zawołać rodziców i poprosić o pomoc w znalezieniu go, ale coś w środku kazało jej ruszyć samodzielnie – jakby to był test, który musiała zdać sama.

Przełknęła ślinę, spojrzała raz jeszcze na pustą przestrzeń przed domem i poszła, zanim rozsądek zdążył ją zatrzymać. Strach szedł z nią krok w krok, ale nie zawróciła.

Wiedziała, dokąd się uda – tam, gdzie niedawno, razem z psem, oddalili się od znanych jej miejsc.

Gaja dobrze pamiętała drogę, bo wszystko wtedy wydawało się nowe i ważne. Była przekonana, że pamięta każdy szczegół i poradzi sobie bez niczyjej pomocy. Właśnie dlatego nie obawiała się iść sama.

Była pewna, że się uda. Logicznym wydało się jej, że jeżeli psa nie było przy niej, to musiał być właśnie tam.

Ale droga nie była już taka sama. Bez prowadzących ją kroków, wszystko było inne. Kamienie wydawały się ostrzejsze i większe. Ścieżki – urwane i niepewne. Czasem poznawała fragment krajobrazu, coś migotało w pamięci, ale zaraz znikało.

Pomyślała w końcu, że samotna podróż była błędem. Nie było jak na wspólnych spacerach z rodzicami. Nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć: „*tutaj skręcamy”* albo „*tu uważaj”*. Była tylko ona i narastający w niej niepokój.

Skupiała się głównie na tym, żeby znaleźć psa, a on na pewno będzie wiedział, co zrobić później.

Szła dalej, choć z każdą chwilą coraz mniej pewnie. To, co przez chwilę wydawało się znajome, zaraz stawało się kompletnie obce.

W miejscu, w którym już nic nie przypominało znajomej drogi, zawróciła, ale i powrotna ścieżka okazała się zupełnie nieznana. Zrozumiała, że się zgubiła.

Po długiej, męczącej wędrówce i bezskutecznym nawoływaniu czworonoga, usiadła na ziemi. Nie płakała. Zniosła to dzielnie, choć wiedziała, że nie potrafi wrócić do domu. Czuła, że rodzice szukają jej teraz z takim samym niepokojem, z jakim ona szukała zwierzęcia.

W brzuchu narastał ciężar – nie był to strach, a coś głębszego, trudniejszego i cichszego. Coś w niej pękało... jakby uciekała z niej ostatnia nadzieja. W głównej mierze nie martwiła się jednak o własny powrót, lecz o to, czy ponownie ujrzy swojego psa.

– Gdzie jesteś? Wróć do mnie... – mówiła pod nosem, marszcząc brodę.

Uczucie, jakie jej towarzyszyło, było podobne do tego, które poczuła w chwili, gdy przywołała go do siebie w myślach.

Właśnie w tym momencie, kiedy już wydawało się to niemożliwe, na wzniesieniu nieopodal zobaczyła, że coś się rusza.

Przyjrzała się uważniej. To był on… Wpatrywał się w nią, z otwartym pyskiem i charakterystycznie wolno pomerdując ogonem, czekał cierpliwie na reakcję dziewczynki.

Ta podeszła do niego ostrożnie, jakby się bała, że zniknie, jeśli zrobi coś za szybko. Ale nie zniknął, pozostawał w tym samym miejscu.

W pewnym momencie, nie wytrzymał i podbiegł radośnie do Gai, która przytuliła go z ogromną ulgą. Dopiero wtedy przestała tłumić emocje, dopiero wtedy z jej oczu popłynęły łzy.

Uczucia towarzyszące ich spotkaniu, przypominały ciche odkrycie – jakby od zawsze na siebie czekali.

Ten mały piesek przyniósł jej coś więcej niż towarzystwo. Było to poczucie bliskości wypełniające samotną do niedawna codzienność, wzbogacenie rzeczywistości nieodwracalnie zmieniające jej postrzeganie.

Teraz, gdy biegał u jej boku, wszystko wokół nabierało nowego sensu. Nie umiała już myśleć o świecie, w którym nie ma jego ciepłego i radosnego spojrzenia.

– Gdzie ty byłeś?! Nie możesz tak robić! Nie rób tak nigdy więcej! Nie zostawiaj mnie już...

Pies ocierał się o nią, delikatnie liżąc jej zapłakane policzki, jakby chciał ją w ten sposób przeprosić i pocieszyć.

Po dłuższej chwili dziewczynka rozejrzała się wokół, nie mając pojęcia, w którą stronę powinni się skierować.

– Nie wiem, gdzie jest dom... Rodzice na pewno się martwią…

Pies słysząc jej słowa, zareagował, jakby dobrze rozumiał, o czym mówi - odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Zaraz! Poczekaj na mnie!

Niewiele myśląc, zaczęła pospiesznie iść za nim, ufając, że wie, co robi.

Szli długo – nie drogą, jaką mogłaby choć trochę pamiętać, nie wydeptaną ścieżką, choć jej przewodnik zdawał się doskonale znać każdy mijany kamień.

Nagle okolica zaczęła wydawać się znajoma. Kilka mijanych punktów wyraźnie wskazywało na to, że idą w dobrym kierunku.

Dziewczynka miała już pewność – pies prowadził ją do rodziców. Chciała pomóc mu wrócić do domu, a to właśnie on okazał się drogą powrotną dla niej.

Zanim jeszcze ujrzeli dom, znalazł ich Kaon. Gaja ucieszyła się na jego widok, jakby ciężki kamień spadł jej z serca.

Może nie chcąc pozbawiać jej tej radości, ojciec, po tym jak ją uścisnął i upewnił się, że nic się jej nie stało, wydusił tylko ponuro:

– Już dobrze, wracajmy do domu.

Gdy stanęli u progu, drzwi otworzyły się natychmiast, a z nich wybiegła mama dziewczynki. Twarz miała spiętą, a oczy szerokie.

– Gaja! Dziecko, chodź tu do mnie…

Przytuliła ją mocno. Bez kolejnych słów, ściskała ją z całym drżeniem, które dotąd trzymała głęboko w sobie. Czuła szybko i nieregularnie bijące serce córki tuż przy jej własnym.

Pierwszy raz zamartwiała się tak bardzo o los własnego dziecka. Pierwszy raz poczuła się zupełnie bezsilna – jakby jej moc, dotąd pewna i nienaruszalna, rozpraszała się w dłoniach, ustępując miejsca lękowi, który właśnie przemieniał się we wzruszenie.

Kaon był tuż za nimi. Wciąż milczący, ale jego spojrzenie mówiło wszystko. Choć tłumił emocje, widać w nim było silną ulgę. Przez moment położył dłoń na ramieniu córki. Tylko tyle. Wystarczyło w zupełności.

Wieczorem, przy ogniu, panowała cisza. Ta dobra, bez męczącego napięcia.

Pies leżał obok, cicho jak zawsze, ale teraz – obecny jakoś inaczej, jakby wiedział, że wywołał smutek najbliższych i gryzły go z tego powodu wyrzuty sumienia.

Gaja patrzyła na niego długo. W końcu powiedziała:

– Tao.

Kaon spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem.

– Tak chcesz go nazwać?

Skinęła głową.

– Tao to ścieżka, prawda? – zapytała.

Mówiła o języku, którym od czasu do czasu posługiwali się w domu. Starych zwrotach, jakich jej rodzice używali, jakby sięgały czegoś, co jest już niemal zapomniane.

– Zgadza się – odpowiedziała Reya po chwili namysłu.

Dziewczynka zastanowiła się jeszcze przez chwilę, po czym dodała:

– Pokazał mi drogę do domu – powiedziała cicho. – Tak będę do niego mówić. Tao...

W tej chwili pies, słysząc to imię, podniósł głowę i postawił uszy – zareagował tak, jakby znał je od zawsze.

– Pasuje do niego – skomentował Kaon.

– Bardzo ładne imię – potwierdziła mama dziewczynki.

Od tej pory nie był już tylko chodzącym za nią cieniem. Stał się jej drogą, przewodnikiem i częścią domu, który kochała – jej przyjacielem.



3. Roślina

Nie tylko Gaja nie potrafiła już wyobrazić sobie codzienności bez Tao. Wszyscy szybko przyzwyczaili się do nowego towarzysza, którego zaczęli postrzegać jako członka rodziny.

Dni zaczynały się teraz od radosnego szczeku czworonoga, a wieczory kończyły się jego cichym sapaniem. Tao stał się rytmem ich dnia, nowym żywym punktem w statycznej pustce, do której przywykli.

Rodzice z wyraźną, choć skrywaną radością obserwowali, jak z dnia na dzień ich córka staje się przy nim coraz bardziej otwarta. Jej śmiech, rozlegający się dawniej tylko w bezpiecznym kręgu domowego ogniska, teraz często przerywał ciężką ciszę pustkowia.

Któregoś razu, gdy patrzyli na ich wspólną zabawę, Reya nachyliła się do Kaona i powiedziała cicho:

– Nie sądzisz, że to już właściwy moment? Jest chyba gotowa.

Kaon milczał przez chwilę, śledząc wzrokiem psa, który akurat położył głowę na kolanach dziewczynki.

– Myślałem o tym. Bałem się trochę, ale... masz rację. Nie możemy dłużej czekać.

– To nie jest już tylko dziecko. Powinna znać swoje możliwości.

Krótko po tej rozmowie Reya zaproponowała córce spacer. Nie zwykły, po okolicy, ale dłuższą wyprawę.

Razem z Tao ruszyły drogą, którą Gaja zawsze omijała. Była to ścieżka prowadząca w głąb pustkowia, wydeptana przez dorosłe stopy.

Czasem widywała wracającego stamtąd tatę. Jego dłonie bywały obtarte, a buty pokryte szarym, nieznanym pyłem. Jego milczenie po tych wyprawach było inne – dłuższe, ale i spokojniejsze, jakby odnajdywał tam coś, co go koiło.

Szły długo w milczeniu, które przerywał tylko chrzęst żwiru pod ich stopami i cichy oddech Tao. Krajobraz zdawał się nie zmieniać – ta sama popękana ziemia, te same ostre, szare skały.

Aż nagle, gdy minęły kolejne wzgórze, coś się zmieniło. Powietrze poruszyło się lekko, niosąc ze sobą delikatny zapach wilgoci.

Przed oczami Gai pojawił się mały strumień. Woda płynęła powoli między gładkimi, ciemnymi kamieniami.

Wszystko wokół wydawało się inne. Mniej ponure, mniej zniszczone – jakby ten zakątek przetrwał lepiej niż reszta świata, zachowując ostatni oddech czegoś, co dawno umarło.

Ucieszony Tao bez namysłu podbiegł do strumienia i napił się z niego, głośno chlipiąc.

Potok wypływał ze skał, z wnętrza niedużej jaskini, która najpewniej skrywała jego źródło. Wejście było niskie, zasłonięte częściowo przez stojące przed nim głazy.

To właśnie tam Reya prowadziła córkę.

Gdy stanęły przed nim, dziewczynka nagle się zatrzymała. Pies, który zwykle wyprzedzał ją o kilka kroków, teraz przystanął, niepewnie węsząc powietrze.

– Boję się... – wyszeptała Gaja, chwytając matkę za rękę.

– Nie masz czego – odpowiedziała ciepło Reya, mocno ściskając jej dłoń. – To wyjątkowe miejsce.

– Wygląda strasznie…

– Spójrz, Tao chyba je polubił – wskazała na psa, który, pokonując niepewność, wszedł sam do jaskini.

Zachęcone jego spokojem, podążyły za nim, wchodząc w tajemniczy cień wejścia.

W środku panował chłodny i wilgotny półmrok. Woda pluskała cicho o kamienie, a ich kroki odbijały się głuchym echem od niskiego sklepienia. Powietrze było gęste i nasycone zapachem mokrego kamienia i czegoś dotąd niespotykanego – wonią starej, czystej ziemi.

Gaja czuła w sobie napięcie. Nie wiedziała, co ją czeka, ale jednocześnie czuła, jakby przyciągała ją tu jakaś nieznana siła. Ścisnęła dłoń mamy mocniej i ruszyła dalej, stawiając ostrożnie stopy za śladem Tao.

Wkrótce dostrzegły promienie światła wpadające z góry przez szczelinę. Padały na taflę wody, migocząc w licznych odbiciach. Kierowały się tam, ku tej poświacie.

I wtedy Gaja poczuła kolejny zapach. Nie znała go, a jednak był... bliski. Jak wspomnienie czegoś, czego nigdy nie doświadczyła. Jak zachowany sygnał z dawnego życia.

Zatrzymała się na moment, zamknęła oczy, biorąc głęboki wdech, jakby chciała chłonąć go całą sobą. Trzymając rękę mamy, kontynuowała spacer, bez rozchylania powiek. Szła tak przez jakiś czas, nie zauważając, że niemal dotarły do źródła światła, które ich prowadziło.

– Córeczko.

– Tak? – odpowiedziała, unosząc wzrok.

– Spójrz – Reya skinęła głową, wskazując na miejsce przed nimi.

Kilkanaście metrów dalej skalne ściany rozchylały się, odsłaniając rozświetlony otwór. Wewnątrz niego woda sączyła się z kilku szczelin, spływając po gładkich kamieniach do małego, krystalicznie czystego zbiornika

– to właśnie on dawał początek strumieniowi, który je tu przyprowadził.

Ale to nie było to, co najbardziej przyciągało uwagę.

Pośrodku, w samym sercu promienia światła, rosło drzewo.

Jego pień, chociaż wydawał się młody, był gruby i mocny, pokryty twardą korą. Gałęzie, gęste i zdrowe, uginały się pod ciężarem barwnych, dorodnych owoców. W tym martwym i zniszczonym świecie był to widok tak nieprawdopodobny, że Gaja na moment straciła dech.

Owoce rozpoznała od razu. Były jej głównym pożywieniem, odkąd pamiętała – czasem kwaśne i twarde, innym razem słodkie i rozpływające się w ustach. Zawsze dawały siłę, radość i energię do zabawy.

Nigdy wcześniej nie widziała ich jednak rosnących. Do tej pory po prostu pojawiały się w domu, przynoszone przez rodziców – coś tak naturalnego, że dziecko nie musiało się nad tym zastanawiać.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytała po chwili Reya.

Gaja pokręciła przecząco głową.

– To miejsce jest wyjątkowe…

Na moment zawiesiła głos, jakby nie potrafiła odnaleźć właściwych zdań. Po chwili przerwy, kontynuowała:

– Jest niezwykłe, nie tylko dlatego, jak wygląda, a z powodu tego, co oznacza dla ciebie.

– Dla mnie? Dlaczego?

– Bo właśnie tutaj się urodziłaś.

Dziewczynka spojrzała na nią z pełnym skupieniem, a potem płynnie wróciła wzrokiem do drzewa.

– Tu jest pięknie... – mruknęła pod nosem po chwili zastanowienia, a jej słowa rozległy się cichym echem w całej jaskini.

– To prawda. Ale wtedy wyglądało inaczej. Było pusto. Tylko skały i woda.

– Jak to?

– Gaju... to miejsce to ty. Jesteś jego częścią. Ty je stworzyłaś. Dzięki niemu żyjesz. I dzięki tobie – ono.

Nie wszystko rozumiała, ale to nie przeszkadzało. Wystarczała świadomość, że w tych słowach kryje się wyjaśnienie tego dziwnego uczucia, które towarzyszyło jej, gdy wchodziła do jaskini.

Nawet bez tłumaczeń odczuwała spokój, jakiego dotąd nie poznała nawet w domu. Czuła, że jest dokładnie tak, jak powiedziała mama. To miejsce było jej wyjątkowo bliskie.

– Gdy przychodziłaś na świat – mówiła dalej Reya – właśnie tu znalazłam schronienie. Jak tylko się urodziłaś, tego samego dnia, z ziemi wyrosła mała

roślinka. Tak delikatna, że bałam się jej dotknąć. Później rosła razem z tobą. Z dnia na dzień była mocniejsza... aż stała się tym silnym drzewem.

Gaja podeszła do niego w skupieniu, w którym liczył się nie tylko ruch, ale wręcz każdy oddech. Czuła, jak serce bije jej szybciej, a powietrze wokół staje się cięższe.

Z każdym krokiem narastało w niej dziwne uczucie – mieszanka lęku i fascynacji, jakby zbliżała się do czegoś, co od dawna na nią czekało.

Tao pozostał z tyłu, czujnie obserwując to niezwykłe zdarzenie.

Dziewczynka wyciągnęła dłoń i położyła ją na pniu. Przez chwilę trwała w bezruchu. Kora pod jej palcami nie była martwą, szorstką powłoką, ale ciepłą i gładką – niemal jak żywe ciało.

Stojąc tak, zamknęła oczy, chcąc wytężyć zmysł dotyku. Tuż po tym pod opuszkami palców poczuła ledwie wyczuwalny puls. Tętno bliskie od pierwszej chwili.

Gdy rozchyliła powieki, wokół swojej dłoni dostrzegła drobne wiązki światła płynące przez pęknięcia w korze.

W tej samej chwili ziemia pod jej stopami lekko zadrżała, a przez jej ciało przetoczyła się fala kojącego ciepła.

Małe, złote żyłki – niczym korzenie czystej energii – nagle rozbłysły, rozchodząc się po pniu i gałęziach, przekształcając po chwili drzewo w świetlistą latarnię, rozpaloną jej wewnętrznym blaskiem.

Reya stanęła obok i położyła dłoń na ramieniu córki. Jej głos był ciepły jak zawsze, lecz tym razem pełny zadziwienia, jakby sama odkrywała nieznane oblicze tego miejsca.

– Widzisz? – szepnęła. – To przyszło z ciebie. To twoje światło.

Gaja w milczeniu przyglądała się tętniącemu blaskowi.

– Czujesz? – Reya położyła dłoń na piersi córki. – To drzewo pulsuje tak samo jak ty.

– Tak… czuję.

– Jesteście jednym życiem. Twoje serce bije wewnątrz niego.

Gaja uniosła głowę i przyjrzała się drzewu – teraz rozświetlonemu energią zdającą się wibrować w powietrzu.

– Istnieje, bo ty istniejesz – dodała Reya. – Jest twoim odbiciem…

Dziewczynka spojrzała na Tao – siedział niedaleko i uważnie się jej przyglądał. W jego ciemnych oczach odbijały się migoczące złote promienie światła.

Wtedy zrozumiała – to ciepło pod dłonią i ten cichy, pulsujący rytm, były tym samym, które czuła od chwili, gdy pies pojawił się w jej życiu. Ta sama siła, przybierająca różne formy. Jej własna moc, szukająca ujścia.

Świat wokół zadrżał lekko, jakby wzdychał głęboko razem z nią. Cień jaskini wydał się miększy, chlupot wody – donioślejszy, a zapach wilgotnego kamienia i życia – słodszy.

Rzeczywistość, tak znajoma, zmieniła się w jednej chwili – nie gwałtownie, ale nieodwracalnie. Stała się cichsza, głębsza, pełna ukrytych warstw i znaczeń czekających na odkrycie.

W ten sposób znalazła źródło. Nie płynącego strumienia, a swoje własne.

– Zostaw tu część siebie – szepnęła Reya, unosząc powoli dłoń z jej piersi. – Tylko tyle. Swój dotyk i myśl. Ono to pamięta.

Gaja skinęła głową z powagą. Przez chwilę stała w milczeniu, połączona w dotyku z drzewem, jakby żegnając się z przyjacielem.

Tao podniósł się i powoli skierował się w stronę wyjścia z jaskini. Czas było wracać.

Droga powrotna wydała się krótsza, a kroki Gai były pewniejsze. Niosła w sobie sekret – wiedzę o źródle, o drzewie, o cieple pod korą… o miejscu, gdzie zaczęło się jej życie.



4. Dar

Słońce chyliło się ku zachodowi, a wraz z nim zapadał spokojny wieczór.

W powietrzu unosiła się cisza pełna niewypowiedzianych słów, jakby każdy wahał się przerwać tę szczególną chwilę.

Gaja siedziała z rodzicami przy ognisku przed domem. Płomienie drgały równym rytmem, ogrzewając twarze domowników i rozświetlając ich spojrzenia.

Tao leżał nieopodal, w cieniu, zwinięty w kłębek. Co jakiś czas unosił uszy i spoglądał w stronę ognia. Był czujny, a jednocześnie spokojny.

Kaon odezwał się pierwszy. Jego głos, zwykle stanowczy i klarowny, teraz wydawał się stłumiony i niski.

– Gaju… – zaczął. – Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego byliśmy tu zawsze sami?

– Nie do końca – odparła, lekko marszcząc brwi i szukając wzrokiem matki. – Po prostu… zawsze byliśmy tylko my.

Ojciec skinął powoli głową.

– Dla ciebie to oczywiste, ale my z mamą… znamy inny świat.

Reya, siedząca naprzeciw, złożyła dłonie na kolanach.

– Kaon… – szepnęła z niepokojem. – Czy to dobry moment?

– A kiedy będzie lepszy?

Między nimi na moment zawisła gęsta cisza – nowe i zupełnie obce napięcie.

– Jaki inny świat? – przerwała milczenie dziewczynka.

Jej mama nabrała powietrza i zaczęła opowiadać, jakby dzieliła się pilnie skrywanym sekretem.

– …pełen ruchu i śpiewu. Miejsce, które naprawdę oddychało. Ziemia pachniała nie pyłem, ale życiem. Wiatr szeptał pieśni wśród liści drzew, a niebo… zanim gasło w zachodzie, dzieliło się swym blaskiem, radością i siłą.

Dziewczynka słuchała, a w jej głowie rodziły się obrazy tak żywe, że niemal bolesne w swej nieosiągalności.

– Co się z nim stało?

– Nic – odparł spokojnie Kaon. – On wciąż istnieje. Tylko… nie tutaj.

Reya uniosła dłoń, jej smukły palec wskazał drogę na ciemniejącym niebie.

– Widzisz tę gwiazdę, co świeci lekko na fioletowo? Tę, która tak migocze?

– Tak… – Gaja zmrużyła oczy, odnajdując ją wzrokiem. – Mruga inaczej.

– To nie jest zwykła gwiazda. To… wyjątkowe miejsce – świat, z którego pochodzimy.

Dziewczynka ze zdumieniem spojrzała na matkę.

– Ja też? – spytała po chwili niepewnie.

– W pewnym sensie tak. Tamto życie powołało twoje, ale urodziłaś się tutaj. Twój dom jest właśnie tu.

– A dlaczego stamtąd… uciekliście?

– Nie uciekliśmy – odpowiedział Kaon. – Dokonaliśmy wyboru. Czasem życie wymaga od nas trudnych decyzji.

Gaja nie dopytywała o powody. Milczała długo, wpatrzona w migoczące, chłodne fioletowe światło, wyobrażając sobie świat, jakiego nie znała.

– Naprawdę jest tam tak pięknie? – zapytała po chwili.

– Tak, córeczko. Jak we śnie… – szepnęła Reya, a w jej głosie zabrzmiała tęsknota.

– To… dlaczego tam nie zamieszkamy?

Kaon pochylił się do przodu, a światło ognia oświetliło jego twarz.

– Ze względu na ciebie.

Odpowiedź ojca zdezorientowała dziewczynkę. Nie rozumiała, dlaczego woleli żyć z nią na tym pustkowiu niż w raju, który jej opisali.

– Wiedzieliśmy, że ten moment nadejdzie – wtrąciła Reya. – To chwila, gdy musisz poznać całą prawdę o sobie. On nam o niej przypomniał – powiedziała, wskazując dłonią na leżącego obok psa.

– Tao? – nie kryła zdziwienia.

Na dźwięk swojego imienia zwierzę uniosło głowę i nastawiło uszy, wyraźnie rozumiejąc, że mowa jest o nim.

– Tak. Jego pojawienie się… znaczy więcej niż może się wydawać. Potwierdza to, co od dawna podejrzewaliśmy.

– Co takiego?

W tej chwili przypomniała sobie słowa ojca, który mówił, jak wraz z mamą widzieli inne psy. Zrozumiała, że Tao musi mieć z ich światem wiele wspólnego.

Jej myśli przerwały kolejne słowa Reyi:

– Pamiętasz, jak smuciłaś się, że jesteś sama? Jak powtarzałaś nam, że czegoś ci brakuje?

– Bo tak było…

– A potem… pojawił się on. Przywołałaś go. To twoje pragnienie nadało mu kształt.

Reya wyciągnęła dłoń i lekko dotknęła przedramienia córki.

– Wiesz, co łączy go z rośliną, którą widziałaś w jaskini?

Gaja zmarszczyła czoło, wracając w myślach do wizyty w jaskini.

– Co takiego? – wyszeptała.

Reya uśmiechnęła się, lecz w jej spojrzeniu krył się smutek i duma.

– Przywołaj w sobie moment, w którym poznałaś Tao, i ten, gdy ujrzałaś drzewo. Posłuchaj tego, co czujesz.

Dziewczynka zmrużyła powieki. Tym razem nie musiała się długo koncentrować.

Obraz Tao, pojawiającego się znikąd, i drzewa, jakie rozbłysło pod jej dotykiem, zlały się w jedną, jasną całość.

W jej wnętrzu coś drgnęło – ciepły impuls, jakby wspomnienie, które dopiero teraz odnalazło swoje miejsce.

Kiedy uniosła wzrok, już wiedziała. Nie padło żadne słowo, a jednak stało się jasne, że pojęła sens tego, o czym mówiła jej mama.

Zapanowała cisza, przerywana tylko cichym trzeszczeniem żarzącego się drewna. Tao położył głowę z powrotem na łapach, wydając ciche westchnienie.

Chwilę zadumy przerwał po chwili Kaon:

– Kiedy się urodziłaś, pojawiło się tu coś niezwykłego. Cząstka ciebie wylała się na świat. Twoja obecność zaczęła zmieniać go z każdym dniem… i zmienia do dziś.

– Sprowadziłaś tu coś, czego nie było tu od wieków – dodała cicho Reya. – Nadzieję.

Kaon wyciągnął swoją szeroką dłoń i położył na ręce córki.

– Nosisz w sobie dar, Gaju. Siłę, która potrafi tworzyć to, co żywe.

Dziewczynka spojrzała na płomień, a w jej głowie wszystko ułożyło się w spójną całość. Tao pojawił się, gdy najbardziej go potrzebowała. Drzewo rosło u jej boku przez całe życie. Jedno i drugie nosiło w sobie ten sam puls, przypominający jej własny. Jedno i drugie było życiem, w którym mieszkała cząstka niej.

– Stworzyłam je? Naprawdę? – wyszeptała ze zdumieniem.

– Tak – odparła matka. – A to dopiero początek…

Ogień strzelił iskrą, która na moment rozbłysła jak mała gwiazda.

Gaja czuła, że jest inaczej. Jej dziecięcy świat stał się nagle tajemniczy i intrygujący. Wiedziała, że od tej chwili nic już nie będzie takie samo.

Wisiał na niej ciężar spojrzeń rodziców – pełnych miłości, ale i powagi, jakiej wcześniej u nich nie dostrzegała. W jej umyśle rodziły się pytania, jedno za drugim. W końcu zadała to, które wydało się jej najważniejsze:

– Dlaczego jesteście tak smutni? Przecież wszyscy kochamy Tao i to chyba dobrze, że jest z nami…

Ponownie zapadła cisza. Reya wciągnęła powietrze, jakby właśnie te słowa córki były powodem tej rozmowy. Kaon spojrzał w ciemność za jej plecami, a jego twarz stała się maską, pod którą kryły się emocje zbyt ciężkie, by można je wypowiedzieć.

Z dwojga rodziców to matka wzięła na siebie ciężar odpowiedzi.

– Oczywiście, że tak – zaczęła drżącym głosem. – Ale ten dar… ma swoją cenę.

Zawiesiła głos na moment, jakby szukała właściwych słów.

– Splatasz się z rytmem tego, co tworzysz. Stajesz się odpowiedzialna za wszystko, co powołujesz do istnienia. Czujesz cudze życie tak, jakby było twoim własnym.

Reya wzięła powolny oddech, spoglądając w płomienie.

– Radość smakuje pełniej, intensywniej… lecz każda strata rozdziera cię od środka. To jak oddychać za dwoje, za dziesięciu, za setkę istnień. Czuć każde ich tchnienie, każdy uśmiech, ale i każde ukłucie bólu.

Zamilkła na chwilę, po czym dodała ciszej:

– To dar potężny, ale jego ciężar jest trudny do uniesienia.

– Musisz zrozumieć – odezwał się po chwili Kaon – że w pewnym sensie w ten sposób nie dajesz życia, a oddajesz swoje własne.

Gaja spojrzała raz jeszcze na fioletową gwiazdę na niebie, która w tej chwili była jeszcze bardziej wyraźna. Jej światło migotało cicho, jakby odpowiadało na pytania, jakich nie potrafiła jeszcze zadać.

Potem opuściła wzrok ku ziemi. Płomień ogniska przygasał. Ciepło słabło, ustępując miejsca chłodowi nocy. Gaja trwała w milczeniu, zapatrzona w migoczącą resztkę światła.

Leżał przy nim Tao. Był cicho, ale jego oczy były czujne – jakby wiedział, że coś się zmienia… coś istotnego dla nich wszystkich.

Choć rozmowa była trudna, dziewczynka odetchnęła głęboko, po raz pierwszy tak lekko… bez ciężaru

niewiedzy. Wyznanie rodziców pozwoliło zrozumieć jej, jak wiele znaczy jej obecność.

Pochyliła się uważnie, jakby świat zyskał nowe znaczenie. Zanurzyła dłoń w ziemi i uniosła garść piasku.

W świetle ognia pozwoliła ziarenkom zsunąć się wolno przez palce. Spływały z jej dłoni, jak gdyby wypuszczała coś więcej niż tylko materię – jakby świadomie oddawała fragment siebie światu, który właśnie stał się jej.

To już nie była tylko ziemia, po jakiej chodziła. To była przestrzeń, za którą czuła się odpowiedzialna.

– Mój dom... – szepnęła.

– On jest w tobie, a ty w nim – dodała mama. – Tak będzie już zawsze.

W miejscu, gdzie spadały ziarenka piasku, wyrósł drobny pęd. Z początku był niemal niewidoczny, ledwie jaśniejszy od ziemi, lecz z każdą chwilą prostował się i nabierał kształtu, jakby odnajdywał w sobie pamięć wzrostu.

Tao uniósł się z ziemi i powąchał go delikatnie, muskając liście czubkiem nosa. Jego ciepły oddech poruszył powietrze, które rozniosło lekkie nasiona dalej, w głąb otaczającej ich pustki – w przestrzeń pragnącą przypomnieć sobie swoje zapomniane oblicze.

– Zaczyna się – szepnęła Reya.

Kaon tylko skinął głową. Wiedział, że to dopiero jedno z pierwszych słów w niezwykłej opowieści, którą ich córka właśnie zaczęła pisać.

W tej chwili powiał lekki wiatr – ciepły, łagodny i subtelny. Nie niósł pyłu ani chłodu. Był cichy i kojący jak oddech samej natury.

Gaja przytuliła Tao, jakby szukając potwierdzenia wszystkiego, co się dziś wydarzyło.

W odpowiedzi zwierzę polizało jej dłoń, którą później przyłożyła do piersi. Czuła tam coś więcej niż ciepło… jakby serce, bijące do tej pory tylko dla niej, zaczęło bić dla wszystkiego, co poznała.



5. Las

Otoczenie, które wydawało się niezmienne od lat, nagle przybrało nowe oblicze. Nasiona, rozwiane na wietrze, zapoczątkowały coś wyjątkowo pięknego i magicznego.

Kolejne pędy tworzyły miejsce dla następnych, z każdą chwilą nabierając niewiarygodnej siły do dalszego wzrostu.

Krajobraz zmieniał się w oczach. Nieśmiałe źdźbła szybko przekształciły się w dywan soczyście zielonej trawy, jaka rozprzestrzeniała się od progu domu jak fala.

Sprężyste pnącza owijały się wokół kamieni, nadając im nowe znaczenie.

Roślin było coraz więcej. Nieoczekiwanie pojawiały się nowe, a te, które już istniały, każdego dnia stawały się wyższe i silniejsze, prężąc się ku słońcu z niepohamowaną determinacją.

Po miesiącu dom, niegdyś otoczony jedynie gołą ziemią i skałami, stał w cieniu wysokich drzew, o grubych, mocnych pniach i gęstych koronach. Ich liście szeleściły na wietrze, tworząc własną melodię, która zastąpiła głuchą ciszę pustkowia.

Las rósł jak oddech – głęboki, spokojny i nieustanny. Z każdym dniem był gęstszy, bardziej zielony, bardziej obecny.

Choć zdominował krajobraz, nie miał nazw ani stałych granic. Zmieniał się codziennie, jakby dopiero się uczył, czym jest. Rósł, bo był wezwany. Rozwijał się, odzwierciedlając rozwój Gai.

Dziewczynka nie dziwiła się temu, co się działo wokół. Obserwowała zmiany spokojnie, jakby były oczywiste. Nie zadawała pytań i nie próbowała nad nimi panować. Czuła się ich częścią.

Chodziła wśród drzew razem z Tao, wsłuchując się w dźwięki wywoływane ruchem liści i gałęzi, a także w ciszę, która wbrew temu, co znaczyła wcześniej, zaczęła zapowiadać nadchodzące życie.

Pewnego razu zauważyła coś niezwykłego. Gdy wędrowała między drzewami, ich gałęzie zdawały się delikatnie pochylać w jej stronę, a liście nastawiały się ku niej, jakby chłonąc jej obecność.

Kiedy położyła dłoń na jednym z pni, podobnie jak w jaskini, czuła pod palcami ciche, ciepłe drżenie, odpowiadające na jej dotyk. Rośliny nie były bierne, a czujne i otwarte – las oddychał z nią w tym samym tempie.

Któregoś popołudnia, gdy słońce przedzierało się przez konary, a powietrze pachniało mokrym mchem, Gaja usiadła pod jednym z większych drzew.

Zamknęła oczy, położyła dłonie na ziemi i oczyściła głowę z codziennych myśli. Skupiła się na dotyku i tym, co jej niósł.

Wtedy usłyszała coś nieznanego. Cichy, rytmiczny szum wydał się jej głosem lasu, jakby korzenie rozmawiały ze sobą pod jej stopami.

Jej oddech wyrównał się i znacznie zwolnił. W piersi czuła ten sam rytm, który pulsował pod nią i w drzewach, jak gdyby łączyło je z nią jedno, wspólne serce.

Ze spokojem otworzyła oczy. Smugi światła przecinały przestrzeń między pniami, wyznaczając drogę dalej, w głąb. Poruszyła się powoli, bo miała wrażenie, że jeśli zrobi to zbyt gwałtownie, światło zmieni zdanie i odejdzie.

Właśnie w tej chwili, w miejscu, na które patrzyła zjawił się Tao. Przystanął nagle i wbił wzrok w ziemię. Coś przykuło jego uwagę. Chwilę później powąchał podłoże i z zapałem zaczął kopać, rozrzucając na boki kłęby ciemnego piasku.

Gaja podeszła i przykucnęła obok, dotykając palcami pachnącej wilgocią gleby.

Pies coś odkrył. Szarpnął raz, potem drugi, aż w końcu z głębi dziury wygrzebał kawałek czegoś twardego i ciemnego.

Był ubrudzony, pokryty zaschniętą ziemią. Wyglądał jak ząb, ale nie pasował do niczego, co znała. Duży, nienaturalnie zakrzywiony, o ostrych krawędziach. Nie pachniał glebą, lecz dymem – jakby pamiętał ogień.

Dziewczynka dotknęła go niepewnie. Wycofała dłoń natychmiast – nie dlatego, że był ostry, ale dlatego, że przez skórę poczuła coś obcego, co z całą pewnością nie należało do jej lasu.

Wiedziała, że musi wrócić do domu. Czym prędzej chciała opowiedzieć o tym bliskim i usłyszeć ich głosy.

Na miejscu znalazła się szybciej niż zwykle. Zamierzała zawołać rodziców, ale coś ją zatrzymało… ich rozmowa – jej dźwięki niosły się cicho z głębi domu, stłumione, ale pełne napięcia, jakiejś nieznanej powagi.

Stanęła w przejściu, nie wchodząc dalej. Słuchała, choć czuła, że nie powinna.

– Las rośnie z niej – mówiła Reya. – Jeszcze nie wie, co znaczy tworzyć z intencją. To wszystko wciąż dzieje się samo, nieświadomie.

– Jak długo jeszcze będzie to tylko odruch? – zapytał Kaon. – Wydaje mi się, że już czuje, że coś jest nie tak.

– Wiem – odpowiedziała. – Zatrzymuje się, szuka. Widać to w jej ruchach. Las jej to mówi, a ona zaczyna rozumieć jego ciszę. Wkrótce będzie gotowa.

– A co, jeśli zrobi to za wcześnie? Zanim zrozumie, co niesie jej moc?

– Dlatego ją prowadzimy. Właśnie po to tu jesteśmy.

Zapadła krótka cisza. Potem Kaon odezwał się z wyraźnym ciężarem w głosie:

– Czasem myślę, że powinna wiedzieć o wszystkim. O tym, co było przedtem.

– To prawda – powiedziała Reya. – Powiemy jej, ale jeszcze nie teraz. To za szybko.

– Byłaś jak ona… Może gdybyś sama wiedziała o konsekwencjach, to by do tego nie doszło…

– Byłam tu całkowicie sama. Nie było nikogo, kto by ostrzegł, że marzenie może stać się ciężarem.

– No, ale co konkretnie poszło nie tak? Przed czym ostrzeżesz Gaję?

– Tworzyłam zachłannie, z zachwytu, ale ślepo i bez planu. Wierzyłam chyba, że życie zawsze samo znajdzie równowagę.

– Nie mogło znaleźć?

– Nie… bo to, co powołałam, było jak rzeka bez koryta. Było silne i piękne, ale pędzące bez celu, aż rozlało się w chaos. W pewnym momencie patrzyłam,

jak wszystko, co kochałam, zaczyna się pożerać nawzajem. Nie miałam już wpływu… musiałam uciec.

– Myślisz, że Gai pójdzie lepiej?

– Na pewno – powiedziała cicho. – Ona nie popełni moich błędów.

– Miejmy nadzieję…

Ich córka wciąż stała w tym samym miejscu. Słuchając ich, czuła paraliż. Jej dłonie, wciąż brudne od ziemi, nagle stały się znacznie cięższe, a nogi jakby wrosły głęboko w grunt.

Oddychała płytko, nie wiedząc, czy to z wysiłku, czy z nagłego napięcia. Niosła w sobie coś obcego – trudną do nazwania mieszankę zdziwienia, niepokoju i niejasnej winy.

Słowa rodziców dotyczyły dawnej historii, jakiej – czy tego chciała, czy nie – stała się częścią.

Obrazy, które nosiła w sobie od dziecka, nabrały nowego znaczenia. Każdy szczegół, każdy drobiazg, dotąd wydający się zwykły, nagle ułożył się w coś większego, niepokojąco spójnego.

Wyobrażenie o budowaniu piękna zderzało się w niej z wizją śmiertelnie trudnej przeprawy – tej, której nie podołała nawet jej mama. Ta myśl była jak cień, powoli rozlewający się po jej świadomości.

Choć nie rozumiała wszystkiego, co usłyszała, jedno wiedziała na pewno – to nie był przypadek. Ani las, ani

pies, ani ząb ukryty w ziemi. To wszystko coś znaczyło. Czuła, że każde z tych zdarzeń było znakiem, którego jeszcze nie potrafiła odczytać. Coś większego niż ona sama. Coś, co już się rozpoczęło – i teraz tylko czekało na jej decyzję.

Tao podszedł do niej cicho, bezszelestnie, jakby wyczuwał, że nie pora na pytania. Dotknął nosem jej dłoni, zostawiając na skórze ślad ciepłego oddechu.

Gaja nie zareagowała od razu. Stała w miejscu, patrząc w pustkę. Dopiero po chwili jej palce poruszyły się lekko, jakby chciały odwzajemnić gest psa, ale zaraz opadły bez siły.

Spojrzała na stojącego przy niej czworonoga, a potem znów na drzwi, za którymi kryli się jej rodzice ze swoimi sekretami. Wiedziała, że nie chce słuchać już niczego więcej – nie dziś.

W tym milczeniu było coś nieodwołalnego. Granica, której przekroczenie nie miało możliwości odwrotu.

Nie ruszyła się dalej, nie weszła do rodziców. Odwróciła się i opuściła dom tak cicho, jak do niego przyszła. Kroki stawiała ostrożnie, jakby każdy z nich miał znaczenie, a sama ziemia nasłuchiwała jej decyzji.

Las zdawał się na nią czekać – znacznie gęstszy i cięższy niż wcześniej. Powietrze było wilgotne, pachniało czymś nieznanym, co budziło jednocześnie niepokój i ciekawość.

Drzewa, które jeszcze niedawno dawały jej poczucie bezpieczeństwa, teraz zupełnie milczały. Ich cisza nie była jednak wroga, raczej pełna oczekiwania na jej ruch.

Ich korzenie skrywały tajemniczą historię, o której do tej chwili nie miała pojęcia. Czuła jednak, że niezależnie od tego, jak jest ona trudna, prędzej czy później będzie musiała się z nią zmierzyć.

Dom, jaki znała, został za plecami. Nie obejrzała się ani razu, nie miała takiej potrzeby.

Miejsce, w którym się znalazła, choć bez dachu nad głową i pełne tajemnic, stawało się jej nowym schronieniem.



6. Echo

Gaja, choć szybko wróciła do codziennych zajęć, nie była już tą samą dziewczynką, co dawniej. Cień podsłuchanej rozmowy wciąż był dla niej dużym ciężarem.

Rodzice – dotąd dla niej jak otwarta księga – okazali się pełni zamkniętych stron. Choć nie rozumiała znaczenia ich słów, wystarczała jej wiedza o tym, że ukrywają przed nią coś bardzo ważnego. Nie potrafiła im już ufać tak bezwarunkowo jak wcześniej.

Miała jednak Tao. Jego obecność była niezmienna, a kroki pewne. Z nim mogła zapuszczać się coraz dalej w las, nieznanymi jej dotąd ścieżkami.

Czasem wracali do miejsca, gdzie znalazła dziwny ząb. Unosiła go i obracała w dłoniach, badając zakrzywiony kształt. Nie pokazała go rodzicom – uznała, że skoro oni mają swoje sekrety, ona też może. Poza tym czuła, że las przygotuje ją na wszystko, co jeszcze przed nią odkryje.

Od tamtej rozmowy w sercu dziewczynki zamieszkało coś nowego – myśl cięższa niż chęć zabawy. Beztroska, którą nosiła od urodzenia, ustąpiła miejsca czujności. Nie przestała się uśmiechać, ale jej spojrzenie

częściej niż kiedyś zatrzymywało się na czymś dłużej, jakby szukała w tym ukrytego znaczenia.

Radość z rozwijającego się wokół życia była zmącona słowami matki: „Byłam tu sama… patrzyłam, jak wszystko, co kochałam, zaczyna się pożerać nawzajem".

Las też jakby to wyczuł. Czasem, gdy szła, otaczała ją inna cisza – bardziej napięta i pełna niepokoju. Liście poruszały się bez wiatru, a gałęzie odchylały się w różne strony. Ścieżki, które znała, wyglądały znajomo, a jednak prowadziły w inne miejsca. Zaczęła mieć wrażenie, że to nie ona wybiera drogę, lecz drzewa prowadzą ją w głąb.

Pewnego popołudnia, gdy słońce zaczynało chować się za horyzontem, Gaja dostrzegła roślinę – bladą i wyschniętą.

Kucnęła przy niej, a jej palce delikatnie otuliły zwiędły liść. Wyczekiwała znajomego ciepła, które zawsze odpowiadało na jej dotyk. Tym razem poczuła tylko chłód i kruchość martwej tkanki.

Podniosła się z bijącym szybciej sercem. Kilka kroków dalej – kolejna. I jeszcze jedna nieopodal.

Kiedy spojrzała wokół, wydało jej się, że las, który do tej pory rósł niemal na oczach, zatrzymał się.

Nie wiedziała, czy przestał rosnąć całkiem, ale coś w powietrzu mówiło jej, że jego oddech stał się płytszy. Liście nad głową szeleściły ciężej, a między pniami

unosił się zapach suchej ziemi, którego nie było tu od dawna.

Przerażenie ścisnęło jej gardło. Po raz pierwszy poczuła, że nie poradzi sobie sama. Nie zastanawiając się długo, udała się do domu.

Rozmyślając o tym, co się stało, przeczuwała, że może mieć to związek z jej znaleziskiem. Z tego powodu, w powrotnej drodze, podniosła ząb i schowała go do torby, jaką ze sobą zabrała.

Gdy dotarła na miejsce, przy ogniu zastała mamę, której szybko o wszystkim opowiedziała.

Ta słuchała jej w milczeniu, po czym skinęła lekko głową, jakby potwierdzała coś, co już wcześniej podejrzewała.

– Widzę, że coś się dzieje, Gaju – powiedziała. – Pamiętaj, że las jest tobą. Jeśli ty się zmieniasz, on też się zmienia. Twoje serce, choć nadal rośnie, jest jednak czymś tłumione.

Gaja zacisnęła usta. Ścisnęło ją w gardle tak mocno, że ledwo mogła wydusić słowa.

– Podsłuchałam was wtedy – wyszeptała. – Słyszałam, jak mówiliście o mnie… i o tym, że coś może wymknąć się spod kontroli.

Reya westchnęła ciężko, lecz na jej twarzy nie było zdziwienia.

– Domyśliłam się. Usłyszałam cię, gdy odchodziłaś. Od tamtej nocy widziałam, że coś w tobie pękło. Chciałam podejść, przytulić cię i opowiedzieć o wszystkim… ale wiedziałam, że jeśli zrobię to za wcześnie, mogłabym skrzywić twoje spojrzenie na świat, który tworzysz. Czekałam, aż sama zechcesz porozmawiać.

– A gdybym nie powiedziała? – głos Gai był twardszy niż zwykle.

– Wtedy znalazłabym inny sposób, żebyśmy do tego doszły – odpowiedziała spokojnie. – Po prostu nie chciałam, żebyś czuła się do tego zmuszona.

Dziewczynka sięgnęła do torby. Jej dłoń drżała lekko, kiedy wyciągała z niej ząb. Położyła go przed sobą. Gdy światło ognia padło na jego zakrzywioną krawędź, Tao warknął cicho, jakby chciał, by odłożyła go z powrotem.

– Znalazłam to w lesie. Myślę, że to z przeszłości. Z twojej przeszłości.

Reya w pierwszej chwili nie odezwała się ani słowem. Patrzyła na znalezisko córki, a jej twarz zastygła, jakby przez chwilę zapomniała, jak się oddycha. Dłoń na kolanie powoli zacisnęła się w pięść, paznokcie wbiły w skórę.

Nie musiała nic mówić – Gaja czuła, że to dotknęło miejsca, o którym jej mama wolałaby nie pamiętać.

Palce Reyi lekko drgnęły, jakby chciała go chwycić, ale cofnęła dłoń. W jej spojrzeniu błysnęło coś, co zdradzało pamięć o dawnym bólu.

– Skąd go wzięłaś? – spytała cicho.

– Mówiłam… z lasu. Tao go odnalazł.

Reya zamknęła oczy, wciągając powietrze głęboko, jakby na moment wróciła do dawno wypartego snu. Dopiero po chwili odezwała się, cicho i ostrożnie:

– Gaju… kiedy byłam w twoim wieku, trafiłam tutaj. Nie było nikogo poza mną, a ziemia przypominała suchą skorupę…

– Bardziej niż do niedawna?

– Znacznie bardziej. Żyłam tu samotnie, aż stało się ze mną to, co sama przeżyłaś niedawno. Zaczęłam tworzyć, choć jeszcze nie wiedziałam, że mogę. Nie rozumiałam tego daru. Ziemia zaczęła się zielenić, kwitnąć. Powstały lasy, chociaż różniły się od twojego. Później pojawiły się stworzenia, które miały w nich żyć. Niektóre były ogromne i piękne. Inne – głodne, szybkie, zbyt silne. Z czasem zabrakło równowagi. Rośliny nie nadążały rosnąć, a zwierzęta zaczęły polować na siebie nawzajem. Światem zaczął rządzić strach.

Gaja słuchała z coraz większym przerażeniem. Rozumiejąc już, że podąża śladem matki, z jednej strony bała się poznać prawdę o tragedii, z którą się zmierzyła,

a z drugiej – tego, co może stać się jej własną przyszłością.

Reya kontynuowała:

– Pamiętam dzień, gdy wszystko się odwróciło. Liście większe ode mnie tańczyły nad głową, a w krzakach czaiły się oczy, które nie znały strachu.

Słysząc to, dziewczynka poczuła zimny dreszcz na plecach.

– A potem? – spytała cicho. – Co się stało?

– Próbowałam to zatrzymać, ale było już za późno. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Patrzyłam, jak moje marzenie zmienia się w niekończącą i niesprawiedliwą walkę o przetrwanie… aż w końcu odeszłam. Nie potrafiłam nad tym zapanować… nie mogłam tego znieść.

– Odeszłaś na fioletową gwiazdę?

– Tak…

– Dlaczego nigdy nie wróciłaś?

– Wróciłam… krótko przed twoimi narodzinami. – Uśmiechnęła się lekko, głaszcząc delikatnie twarz córki.

– Nie chciałaś wcześniej? Przecież mogłaś wszystko naprawić.

– To nie tak… Wiedziałam, że to mnie przerosło. Po wszystkim pozostał tylko żal.

– Nie rozumiem… dlaczego nawet nie spróbowałaś?

– Przez lata nie mogłam pogodzić się z tym, co zrobiłam. Z całego serca pragnęłam naprawić swoje błędy, ale nie potrafiłam już tworzyć życia.

W tej chwili Gaja zrozumiała, że coś tak oczywistego, jak własna sprawczość, może przeminąć… że dar, który wydawał się do tej pory częścią jej samej, może od niej odejść.

Z nieskrywanym zdumieniem w spojrzeniu słuchała dalej mamy:

– Mi się nie udało, ale wiedziałam, że moje dziecko będzie miało te same możliwości, i mądrość, by pójść właściwą drogą... będzie mogło uniknąć moich błędów. Właśnie dlatego tu jesteśmy, Gaju. Dlatego ty jesteś.

Dziewczynka patrzyła na matkę długo. Czuła w sobie zarówno smutek, jak i zrozumienie. Pierwszy raz zobaczyła ją tak zakłopotaną.

Widziała, jak trudne do wypowiedzenia były słowa, które właśnie usłyszała. Przestało ją dziwić, że nie mówiła o tym wcześniej. Po żalu, który do niej czuła, nie było już żadnego śladu.

– Chcesz, żebym dokończyła to, czego ty nie mogłaś? – spytała po chwili.

– Chcę, żebyś stworzyła coś, co przetrwa. Co będzie miało serce i cel – odpowiedziała Reya. – Twój las jest piękny, ale widzę, że czegoś w nim brakuje.

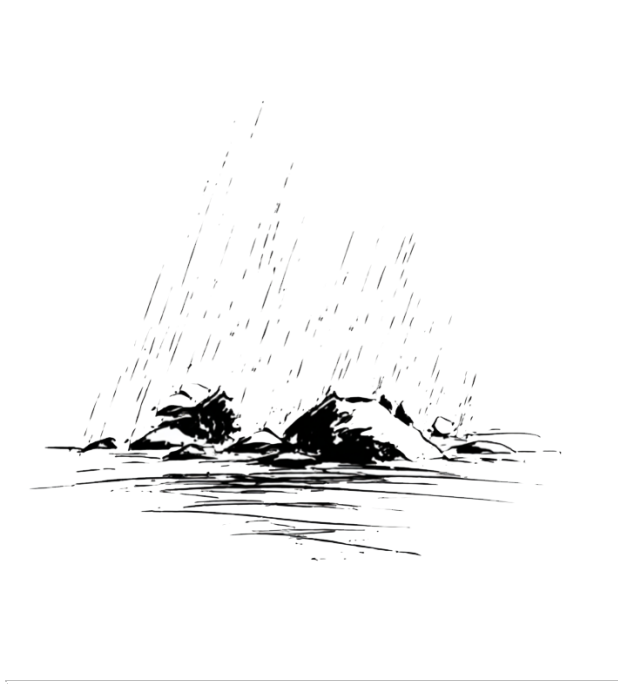
– Wiem…, ale nie rozumiem czego.

Reya położyła dłoń na ramieniu córki.

– Spróbuj posłuchać samej siebie. Pamiętaj, że jesteś nim, a on tobą. Wszystko, co widzisz, jest odbiciem twojego serca. Jeśli go zapytasz, on odpowie, ale tylko wtedy, gdy będziesz gotowa to usłyszeć.

W tej chwili gdzieś daleko zabrzmiało coś, co nie przypominało ani wiatru, ani wody. Cichy, szorstki ton, jak głos uczący się pierwszych słów.

Fala dźwięku dotknęła jej serca, jak małe ukłucie, które zostawiło ślad – ranę wiedzy.



7. Przebudzenie

Gaja długo milczała po rozmowie z mamą. Cień dawnych zdarzeń rósł z każdą godziną, wypierając dziecięcą beztroskę.

Nie potrafiła wrócić do siebie – do tej lekkiej radości, którą jeszcze niedawno nosiła w duchu. Słowa Reyi osiadły w niej głęboko, wypełniając niemal każdą myśl.

Widziała w nich ból, jakiego dotąd nie znała. Teraz rozumiała, że przyszłość nie jest obietnicą, ale wyborem, a ten jakiego dokona, będzie miał konsekwencje większe niż dotąd potrafiła sobie wyobrazić.

Tao wiernie chodził za nią krok w krok, raz po raz ocierając się ciepłym bokiem o jej nogę, jednak nawet jego obecność nie potrafiła rozproszyć ciężaru, który czuła.

Las wokół milkł, odzwierciedlając jej stan. W liściach brakowało sprężystości, strumień w oddali płynął ospale, jakby tracił siły, a powietrze stało w miejscu, gęste i bezsilne.

Gaja wiedziała, że to ona jest przyczyną. Wewnętrzny chłód rozlewał się na stworzony przez nią świat. Była rozdarta. Patrzyła na obumierające dzieło wyrastające z jej serca.

Nie chciała już słuchać żadnych porad. Słowa matki były jak zamknięte drzwi, za którymi krył się zbyt wielki i przerażający krajobraz. Nie pragnęła pocieszeń. Potrzebowała to wszystko zrozumieć, lecz nie z opowieści, a z dotyku. Z czegoś w pełni prawdziwego.

Zarówno las, jak i dom, zaczęły budzić lęk. To, co wydawało się znaną i bezpieczną przestrzenią, nagle stało się tajemnicze i przytłaczające.

Istniało jednak miejsce, jakie wciąż pozwalało na schronienie przed tym, co nieznane. Wspomnienie o nim towarzyszyło jej od dawna – jaskinia, źródło i drzewo rosnące razem z nią. Miejsce, w którym to wszystko się zaczęło.

Tam czuła spokój. Tam po raz pierwszy poczuła, że coś w niej i coś poza nią bije jednym rytmem. To dawało jej schronienie. W tamtej chwili w jej odczuciach była to jedyna w pełni bezpieczna przestrzeń, jaka jej pozostała.

Nie zastanawiała się długo. Rozmyślając o tym, ruszyła w stronę źródła strumienia, omijając leżące przed domem owoce i gliniane naczynia.

Tao – z początku zaskoczony – bez większego zastanowienia pobiegł za nią, nasłuchując i węsząc nerwowo.

Biegnąc trafiła na rodziców. Minęła ich bez słowa, nawet nie zwalniając.

Kaon spojrzał pytająco na Reyę. Ta jedynie kiwnęła głową, a w jej oczach był smutek… przygnębienie wynikające ze świadomości tego, jak trudnym wyzwaniem musi być dla ich córki wiedza, którą jej przekazała.

– Pozwól jej – powiedziała cicho. – To jej droga. Jej walka.

Po chwili ruszyli jej śladem, trzymając się w bezpiecznej odległości.

Las, którym biegła, zmieniał się z każdym krokiem, odbijając jej wewnętrzny stan.

Zamiast świeżych liści – suche i zwinięte. Zamiast kwitnących kwiatostanów – ich brązowe pozostałości.

Korzenie wystające z ziemi wyglądały jak wysuszone żyły, a gęste do niedawna korony, były wypalone od słońca.

Powietrze wisiało ciężko, zamiast życiem pachniało pyłem. Nawet światło przedzierające się przez konary zdawało się przygaszone.

Świat wydawał się chory, gasł szybciej niż do niedawna rósł. Sprawiał wrażenie pozbawionego wcześniejszej witalności i pragnienia rozwoju. Jego widok rozrywał Gaję. Chciała to zmienić, lecz nie umiała.

Gdy dotarła do jaskini, zatrzymała się na moment przed wejściem, nabierając głęboko powietrze. Oddychała szybko, jak przed skokiem do zimnej wody.

W środku panował znajomy, ale jakże obcy teraz półmrok. Echo jej kroków odbijało się głucho od kamiennych ścian, a chlupot płynącej wody brzmiał niczym przytłumiony szept.

Promień światła wpadał przez wąską szczelinę wysoko w sklepieniu groty, tak jak wtedy, gdy przyszła tu z mamą. Teraz jednak stał się bledszy, chłodniejszy.

Drzewo było większe niż wcześniej – pień grubszy, pokryty głębszymi bruzdami, korona szersza, ale bez owoców. Suche gałęzie zwisały ciężko, jakby miały zaraz złamać się pod własnym ciężarem. Liście stały się matowe, kruche i pozbawione blasku.

Gaja podeszła do pnia jak do grobu. Objęła go ramionami, wciskając policzek w spękaną korę. Była szorstka i zimna.

– Nie możesz… – wyszeptała, a jej głos rozbił się o kamienne ściany.

Poczuła, jak gardło ściska się jej mocniej, dusząc każde słowo. Wtedy wróciło wspomnienie słów mamy wypowiedzianych w tym miejscu – że jest częścią tej przestrzeni, a drzewo rosło razem z nią, od jej pierwszego oddechu. I nagle zrozumiała, że nie mówi do drzewa, tylko do samej siebie. Do tej części, która gasła.

– Nie mogę… – powtórzyła po cichu. – Nie mogę na to pozwolić.

Zamknęła oczy, odcinając się od przygnębiającego widoku. Skupiła się na wnętrzu.

Po chwili znów poczuła ciepło – ledwo wyczuwalne, pulsujące gdzieś głęboko pod warstwą lęku i smutku.

Tym razem nie przychodziło z zewnątrz. Płynęło z niej samej, z głębi jej woli, gotowe, by się dzielić i obdarzać życiem.

Odsunęła się lekko i spojrzała na swoje ręce. W półmroku jaskini zdawały się emitować własne światło.

Wzięła głęboki, stabilny wdech, czując, jak powietrze napełnia ją spokojem i determinacją.

Potem, z namysłem uniosła dłonie i przyłożyła je do kory. Nie był to gest należący do dziecka, lecz dojrzałe i świadome kierowanie intencją.

Blask popłynął z jej dłoni do drzewa. Fala złocistego światła wspięła się po pniu ku gałęziom, wnikając w każdą szczelinę. Razem z tym nastąpiło przebudzenie.

Zieleń wracała, soczysta i pełna, rozprzestrzeniając się z każdym uderzeniem jej serca. Zapach suchej kory ustąpił miejsca woni żywicy i życiodajnej wilgoci.

Tym stała się pierwsza rozmowa Gai z naturą – nie słowami, ale światłem i uczuciem. Pytanie i odpowiedź. Prośba i spełnienie.

Czuła, jak liście piją jej energię, a ona ich odrodzenie. To nie było dawanie, tylko łamanie twardych barier – wymiana przywracająca jedność, którą tworzyli.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jedna spadła na jej dłoń, druga – na korzenie, wsiąkając w ziemię. A potem kropla, która nie należała już do niej. I następna.

Z góry, przez szczelinę w skale, spadały krople deszczu. Najpierw nieśmiało, muskając jej ramiona, potem coraz gęściej, aż cała jaskinia wypełniła się melodią wody uderzającej o kamienie. W powietrzu zapachniało świeżością i ziemią, która na nowo przypomniała o własnej sile.

W wejściu nieruchomo stali rodzice. Przyszli za córką, obserwując jej drogę. Nie zbliżali się i nie przerywali. Ich milczenie było uznaniem dla zjawiska przed ich oczami.

Kaon stał wyprostowany, jego dłonie zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, a twarz, zwykle tak twarda, złagodniała w zdumieniu.

Reya miała usta lekko rozchylone, a w kącikach oczu błyszczało coś więcej niż tylko odbicie światła. Był tam podziw i wzruszenie, których nie potrafiła ukryć.

Ta chwila należała jednak do ich córki. Oboje byli jedynie świadkami, nie uczestnikami.

Gaja zauważyła ich, odwracając się od drzewa. Spojrzała krótko z przejęciem i mijając ich, wybiegła na zewnątrz, podnosząc twarz do nieba.

Nad jej głową zebrały się ciężkie chmury, które od wewnątrz rozświetlał miękki, złotawy blask. Krople spadały coraz gęściej, uderzając o skały i rozbijając się na tysiące migoczących drobinek, gładko wsiąkających w glebę.

Rozejrzała się, szukając odpowiedzi i wtedy spojrzała w stronę rodziców.

– Mamusiu… – wyszeptała Gaja, a jej głos był czysty i donośny ponad szumem deszczu.

Reya patrzyła na córkę tak, jak patrzy się na coś, o co walczyło się całe życie. Łzy na jej twarzy mieszały się z kroplami deszczu, a w jej uśmiechu było i wzruszenie, ulga i bezgraniczna duma, której nie próbowała już skrywać.

Skinęła lekko głową – jedno powolne, pełne znaczenia kiwnięcie.

– Teraz już wszystko będzie dobrze.

Gaja rozglądała się wokół – drzewa, które jeszcze niedawno zwisały martwo, teraz piły deszcz, prostując gałęzie i wypuszczając nowe, jasnozielone pędy.

Woda spływała po nich, zmywając kurz i odsłaniając głęboką zieleń. Deszcz budził drzewa, a ona – po raz pierwszy w pełni świadomie – dawała im siłę.

Stała tak długo, aż przestało padać. Ziemia pod stopami oddychała, parując. Dotknęła jej dłonią i poczuła, jak jej puls miesza się z biciem czegoś ukrytego głęboko pod nią.

Chłód, zapach mokrej kory, dźwięk opadu – wszystko łączyło się w jeden rytm, w jej wewnętrzny głos. Wreszcie były tym samym.



8. Skrzydła

Mijały tygodnie. Gaja coraz pewniej używała swojego daru. Z początku były to drobiazgi – dodatkowa gałązka, soczystszy owoc, kwiat w odcieniu, którego tu jeszcze nie było. Las szybko się zmieniał – przybywało barw, a powietrze niosło nowe zapachy.

Tworzenie stało się świadome. Nauczyła się obserwować i reagować. Gestami przeobrażała rzeczywistość, nadając kształt własnym uczuciom i wyobrażeniom.

Pewnego dnia bawiła się na polanie, rozkładając pędy w gęstą, zieloną warstwę. Jednym ruchem poruszyła mech tak, że zakrył młode siewki, które dopiero co znalazły światło. Zatrzymała dłoń, ale było już za późno. Mech rozrastał się, a siewki zaczynały więdnąć, duszone pod ciężką warstwą silniejszego życia.

– Widzisz? – odezwał się spokojny głos za jej plecami.

Odwróciła się i ujrzała swojego tatę. Stał oparty o pień, jak zawsze obecny, gdy coś wymykało się spod kontroli.

– To nic – mruknęła, jakby chciała odgonić wstyd. – Naprawię.

– Naprawisz – przytaknął. – Ale najpierw zrozum swój błąd. To efekt działania bez zastanowienia. Pamiętaj o tym następnym razem.

Gaja kiwnęła głową i przyklękła. Delikatnie rozchyliła mech, uwalniając cienkie, blade już łodyżki. Kiedy znów stanęły prosto, z zadowoleniem uniosła wzrok.

– Dlatego tu jestem – dodał Kaon. – Żeby chronić cię przed tym, co może cię przerosnąć. Nie po to, by cię powstrzymywać. Po to, byś miała granicę, o którą możesz się oprzeć. Moc bez granic to pożar – potrafi pochłonąć wszystko wokół.

– Mech mnie nie przerośnie – zaśmiała się głośno.

– Dobrze wiesz, że nie mówię o roślinach. Stworzyłaś już inne życie – kiwnął głową w stronę bawiącego się Tao. – Prędzej czy później to powtórzysz.

– Boję się... – wyszeptała. – Rośliny czuję. Słuchają. Ale życie, które patrzy na ciebie i wybiera, co zrobić..., a jeśli je skrzywdzę? Albo ono skrzywdzi nas?

Kaon podszedł bliżej i położył swoją dłoń na ręce córki.

– Ufam ci i chcę, żebyś ty też sobie zaufała. Pamiętasz deszcz? Przyszedł, kiedy tylko uwierzyłaś w siebie. Zrób to samo, naprawdę nie musisz nic więcej.

– Spróbuję…

– Tylko pamiętaj, że każde działanie ma swoje konsekwencje. Każda akcja wywołuje reakcję, musisz więc tworzyć z rozwagą.

Skinęła głową, jakby słowa ojca były dokładnie tym, co właśnie potrzebowała usłyszeć.

Kiedy od niej odszedł, skupiła swoją uwagę na Tao. Postanowiła dołączyć do jego zabawy. Pies krążył wokół niej, łapał liście, które rozrzucała w górę, i biegał za nimi. Śmiech Gai niósł się po polanie.

W swojej radości porzuciła prześladujący ją lęk. Biegając razem z przyjacielem, pomyślała o świecie rodziców. Zaczęła wyobrażać sobie życie, jakie nie istniało wokół niej... nie istniało, choć w każdej chwili mogło.

W tej chwili, myśląc o słowach ojca, zatrzymała się. Nad głową, na cienkiej gałązce zauważyła liść – większy od innych, w ciepłych barwach.

Zbliżyła go lekko do twarzy i wzięła głęboki wdech.

– Musisz mi wybaczyć… – szepnęła i delikatnie oderwała liść od gałęzi.

Przyłożyła go do piersi i otuliła dłońmi. Krótko po tym, jak tylko zamknęła oczy, poczuła dwa pulsy – własny i ten w roślinie – które powoli zgrywały się w jeden rytm. Kiedy rozchyliła powieki, rozsunęła też ręce.

Z liścia wyślizgnęło się ciepło i kształt. Najpierw blask spojrzenia, potem kształt i… pióra. Na jej dłoni usiadł ptak – mały, o lśniących kolorach. Poruszył nerwowo głową, jakby sprawdzał, czy naprawdę istnieje. Tuż po tym jednym trzepotem wzbił się w powietrze. Zawirował nad Tao, a pies odskoczył i zaszczekał z zachwytu.

Gaja uśmiechnęła się szeroko i podniosła wzrok na korony drzew. Liście wyglądały teraz jak setki zamkniętych skrzydeł.

Spróbowała ponownie – tym razem obdarzając życiem jednocześnie kilka stworzeń.

Jeden ptak zwinnie błysnął w locie, kreśląc w powietrzu szybkie łuki. Inny, cięższy i niezdarny, ledwo utrzymał się na gałęzi.

– Jeszcze raz… – powiedziała do siebie.

Zamknęła oczy, złożyła na moment ręce i rozkładając je szeroko, zaczęła obracać się w miejscu.

Zmian było coraz więcej. Duże liście przeobrażały się w ptaki, mniejsze w barwne owady, a nawet źdźbła pod jej stopami rodziły stworzenia tak dziwne, że nie potrafiłaby nadać im imienia.

Radość Gai powoli gasła, ustępując cięższemu oddechowi. Ziemia zachwiała się pod jej stopami, a w uszach zaszumiało. Nagle ogarnęło ją wyczerpanie –

namacalny koszt niepohamowanego tworzenia. Ten sam, o którym mówili jej rodzice.

Kiedy rozejrzała się wokół, polana wyglądała inaczej. Powietrze było pełne trzepotu skrzydeł. Ptaki krążyły, siadały na gałęziach.

– Tao! – zawołała.

Pies nie odpowiedział. Stał wpatrzony w stado, z głową uniesioną, jakby próbował zrozumieć ich język. Poruszył się dopiero wtedy, gdy jeden z ptaków usiadł obok, a on powąchał go i zamerdał radośnie ogonem.

Dziewczynka uśmiechnęła się, choć poczuła ukłucie – po raz pierwszy jej przyjaciel nie zwrócił na nią uwagi.

Nad polaną uniósł się wielobarwny śpiew. Liście poruszyły się, jakby ktoś je obudził. Gaja rozchyliła ręce, czując, jak powietrze wymienia z nią energię.

W tym wirze ruchu i dźwięku zrozumiała, że sam las to za mało. Zapragnęła czegoś większego. Jej świat miał być potężnym domem dla życia, a nie jego niewielką osadą.

Podniosła z ziemi pióro. Było lekkie, niemal niewyczuwalne. Położyła je na dłoni i pozwoliła, by wiatr zabrał je w stronę gęstwiny. Przyglądając się temu, w myślach usłyszała echo słów ojca: „*Każde działanie ma swoje konsekwencje”.*

To był koniec zabawy i początek prawdziwej odpowiedzialności… decyzji, które miały nieść nieodwracalne skutki.

Gaja rozejrzała się jeszcze wokół. Polana wciąż była otoczona barwami i ruchem, ale euforia już minęła.

To, co stworzyła, żyło własnym rytmem – i to wystarczyło, by zrozumiała, że przekroczyła niewidzialną granicę.

Nie próbowała jednak cofać ani naprawiać tego, co się wydarzyło. Przyjęła po prostu, że od tego momentu jej tworzenie będzie niosło coś więcej niż zachwyt. I że nie wróci już do dawnej beztroski – nawet jeśli część niej będzie za tym tęsknić.



9. Fale

Las oddychał głęboko, a Gaja czuła jego rytm jak własny. Był spokojny, niemal senny, jakby cały świat wyczekiwał tego, co przyniesie kolejny dzień.

Tego popołudnia powietrze stało się ciężkie od zapachu mokrej ziemi i dojrzewających owoców. Światło słońca przedzierało się przez korony drzew, migocząc na mchu i liściach.

Tao leżał u stóp dziewczynki, z głową ułożoną na łapach. Jego uszy były czujne, a spojrzenie błądziło gdzieś po tafli pobliskiego strumienia, jakby przeczuwał, że coś się zaraz wydarzy.

Gaja podeszła do wody. Strumień płynął leniwie. Zwykle był spokojny, ale tego dnia wydawał się zbyt cichy i nieruchomy. Miała wrażenie, że i on czeka na jej ruch. Na nowy impuls.

Zamknęła oczy. Nie myślała o kształtach ani barwach – wsłuchiwała się w rytm, ten sam, który poczuła pod korą drzewa.

Jej dłonie same uniosły się nad wodą. Kreśliły w powietrzu płynne linie, niczym tkając niewidzialną nić.

Strumień odpowiedział szybko. Poruszył się lekko, jakby ocknął się z drzemki. Pod powierzchnią

zaznaczyły się cienie – najpierw delikatne, potem coraz wyraźniejsze, aż w końcu wyłoniły się z nich pierwsze stworzenia.

Smukłe, szybkie, srebrzyste, niemal przezroczyste ryby. Sprawiały wrażenie złożonych z powietrza i światła. Pojawiały się jedna za drugą, aż stworzyły liczną gromadę. Pływały w idealnej zgodzie, jakby były częścią wspólnego ciała.

Gaja rozchyliła lekko powieki i uśmiechnęła się na ich widok, ale zaraz po tym spoważniała. Coś się nie zgadzało. Wszystkie wyglądały tak samo. Piękne, ale niewyraźne.

– Nie tak – burknęła pod nosem. – Chcę, żeby każda była inna.

Sięgnęła po garść leżących pod jej stopami opadłych płatków kwiatów i liści, po czym rozsypała je nad wodą. Wsiąkły w taflę i rozlały się jak farby.

Strumień rozbłysnął kolorami, jakby ktoś rozpuścił w nim tęczę. Ryby nabrały barw – jedna mieniła się fioletem niczym dojrzały owoc, inna lśniła zielenią trawy, kolejna połyskiwała złotem jak piasek w słońcu. Na boku następnej pojawił się wzór, na grzbiecie innej – smuga.

Tao zerwał się, stając nad brzegiem. Warknął, gdy jedna z ryb plusnęła tuż przy nim, rozpryskując krople jak kolorowy pył.

Gaja przyklękła. Jej oczy śledziły każdy ruch, każdy błysk łuski. Dostrzegła rybę, która płynęła przy dnie, uderzając o kamienie.

– Oj… To musiało boleć – powiedziała z grymasem na twarzy.

Tuż po tym, jej dłoń wykonała lekki gest. Ryba drgnęła, a na jej głowie wyrosła mała, świetlista wypustka, która natychmiast zaczęła rozświetlać otoczenie. Zwierzę zatrzymało się, po czym żwawo ruszyło dalej, tym razem pewnie i stabilnie, omijając każdą przeszkodę.

Kolejna ryba była zbyt długa, poruszała się ciężko, jakby walczyła z własnym ciałem. Gaja narysowała w powietrzu szeroki łuk, a tuż po tym na jej ogonie pojawiła się półprzezroczysta płetwa. Od razu nabrała gracji, płynąc lekko i dostojnie.

Zaśmiała się głośno, kiedy machnęła ręką, a spod jej palców wyskoczyła kolejna – tym razem mała i kolczasta. Chciała dodać jej coś jeszcze, ale nagle poczuła swędzenie w nosie i… kichnęła prosto w jej stronę. W jednej chwili ryba napęczniała, stając się niemal kulą.

– Ojej! – zawołała rozbawiona.

Widząc to, Tao szczeknął z radością, a ryba wypuściła kilka bąbelków, jakby sama była zaskoczona tym, co się stało.

– Już, już… zaraz to naprawimy.

Dziewczynka, patrząc na nią z uwagą, zbliżyła do siebie dłonie, a kształt wrócił do poprzedniej formy. Zostawiła w niej jednak zdolność ponownego nadęcia.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda.

I wtedy wszystko zaczęło się splatać.

Kolory zwabiły owady, które dotąd rozwijały się w ukryciu. Drobne i lśniące, zaczęły licznie krążyć nad taflą. Ryby wyskakiwały do nich, rozpryskując wokół wodę i załamując światło.

Ptaki, choć wcześniej omijały to miejsce, nagle zleciały nisko, obserwując zachowanie nowych mieszkańców. Ich pióra połyskiwały w słońcu, a śpiew przyspieszył, stając się bardziej intensywny.

Śmiech Gai rozniósł się po brzegu, ale nagle urwał się w połowie tonu. Jej wzrok, jeszcze przed chwilą rozbawiony, zastygł na powierzchni wody.

Jeden z ptaków o smukłej szyi zanurkował i wynurzył się z drobną, srebrną rybką w dziobie. Tao, szczekając głośno, pogonił za nim, ale ptak wzbił się wyżej i szybko zniknął w koronach drzew.

W tej właśnie chwili, pomiędzy radością a zachwytem, poczuła ciche i ostre ukłucie świadomości. To nie był ból, ale echo słów ojca o cieniu stworzenia, które nagle stało się fizyczne i niepodważalne.

Zmęczona, usiadła na ziemi, patrząc na skutki swojego uniesienia, jakie sprowadziło ze sobą zarówno życie, jak i jego nieuniknioną konsekwencję.

Strumień, dotąd pełen trzepotu ryb i migotania barw, nagle przycichł, jakby robił miejsce dla czegoś nowego.

Krótko później z wody zaczęły wychodzić płazy – małe, śliskie, z wyłupiastymi oczami. Pełzały niezdarnie po kamieniach, badając świeży ląd.

Tuż za nimi pojawiły się gady – powolne, o ciężkich powiekach i lśniących łuskach. Jeden z nich wspiął się na kamień i wyciągnął ciało ku słońcu, smakując jego ciepła po raz pierwszy.

Tao podszedł ostrożnie i dotknął go nosem. Stworzenie odskoczyło, a pies cofnął się zaskoczony, po czym jedynie zamerdał ogonem.

Gaja patrzyła na to wszystko z mieszaniną zachwytu i pokory. To był początek czegoś większego – sieci, która rosła z każdą chwilą, oplatając świat coraz mocniej.

Stanęła nad wodą i lekko uniosła ręce. Strumień uspokoił się całkiem, odbijając jej twarz. Widziała w nim siebie i nowe istoty.

Wyobraziła sobie życie, jakie nadchodziło – świat podobny do tego, o którym niedawno opowiadali jej rodzice, wspominając własny dom.

– Chyba pora – szepnęła. – Czas stworzyć kogoś, kto będzie jeszcze bliżej nas.

Tao stał obok niej, wierny i czujny. W jego oczach widziała zgodę i gotowość.

Gaja ponownie rozejrzała się wokół, podziwiając swoje dzieło. Wzięła głęboki oddech, czując, jak ciężar odpowiedzialności miesza się w niej z ekscytacją.

Wszystko, na czym się skupiała, odpowiadało jej teraz cichym echem – plusk wody, szelest na kamieniu, czy śpiew w oddali. Powietrze wokół drżało od tego nowego życia, od szmerów i pomruków, które razem układały się w spójną melodię istnienia.

Patrzyła na to wszystko z poczuciem cichej pokory. Każda z tych istot była osobnym bytem, a jednak wszystkie były ze sobą splątane niewidzialną nicią, której drugi koniec owijał się wokół jej dłoni.

Nowy świat, choć niósł ze sobą niepewność, wciąż był jej odbiciem. Wiedziała, że takim pozostanie w każdej formie, jaką kiedykolwiek przybierze.



10. Cień

Dzień zgasł, ale nie przyniósł wytchnienia. Powietrze zrobiło się gęste, jakby las zatrzymywał coś w sobie i nie chciał tego wypuścić.

Gaja siedziała na brzegu strumienia. Jej palce błądziły po krawędziach chłodnych kamieni. Czoło miała wilgotne, a wzrok gdzieś uciekał po wodzie. Słuchała jej szumu, w którym wciąż słyszała echo ostatnich zdarzeń.

Kilka kroków dalej leżał Tao. Wyglądał jak zwykle, a jednak coś w jego postawie mówiło, że nie jest już taki sam. Głowę miał uniesioną w stronę drzew, a uszy napięte. Czasem mrugnął, co jakiś czas poruszył ogonem, ale poza tym był nieruchomy.

Coraz częściej oddalał się gdzieś poza jej zasięg. Tropił, węszył, nasłuchiwał czegoś, czego Gaja nie słyszała. Zawsze wracał, choć nie od razu. Bywały chwile, gdy zostawała sama dłużej niż chciała. I choć niczego nie straciła, odczuwała pustkę.

Patrzyła na niego w milczeniu. To był ten sam pies, który towarzyszył jej przy pierwszych krokach w lesie, ten sam, który czuwał przy niej, gdy zasypiała. Teraz wyglądał jednak tak, jakby to już mu nie wystarczało, jakby szukał czegoś więcej.

– Tao… – odezwała się cicho.

Pies poruszył uszami i spojrzał na nią z uwagą.

– Byłeś przy mnie od początku. Pilnowałeś mnie. Nigdy się nie zawahałeś, gdy cię potrzebowałam… – urwała na chwilę, zbierając siły. – Zasługujesz na kogoś, kto będzie mógł biec obok ciebie w tym samym tempie.

Nie spuszczał z niej wzroku. Nie musiał rozumieć słów – i tak wyczuwał ich wagę.

– Chcę ci to dać – mówiła dalej. – Ale boję się, że nie będziesz chciał do mnie wrócić.

Zamilkła na chwilę. Czuła na sobie jego spojrzenie. Odwróciła głowę, nagle tracąc całą odwagę.

Po chwili jednak powoli wstała. Każdy ruch miał teraz głębsze znaczenie. Wiedziała, że jeśli się pospieszy, może coś stracić, jakby zwykły oddech mógł zburzyć równowagę.

Ruszyła w stronę pobliskiej polany. Tao podniósł się razem z nią, lecz nie podążył krok w krok. Został w tyle, wyczuwając, że zaraz coś się wydarzy.

Droga była krótka, a jednak nienaturalnie się dłużyła. Kroki stały się stłumione, a wiatr ucichł.

Polana otworzyła się nagle. Jasny blask księżyca padał prosto z góry, oświetlając mech na środku. Tao zatrzymał się na granicy światła, milczący, z łapami mocno wbitymi w ziemię.

Gaja weszła na środek i uklękła. Jej dłonie dotknęły wilgotnego mchu. Zamknęła oczy, oddychając głęboko. Czuła, jak serce przyspiesza, a w jej głowie układał się obraz – nie sen, ale kształt domagający się życia.

Widziała silne ciało. Mocne łapy, jakie poprowadzą je przez trudny teren. Futro gęste i grube, by chroniło przed chłodem. Uszy wyczulone na każdy szelest. Oczy, które widzą w ciemności. Kark silny i dumny, serce lojalne. Towarzysz, będący w stanie biec z Tao ramię w ramię i w razie potrzeby stać się jego obrońcą.

Przez chwilę wszystko było jasne. Obraz układał się sam, bez wysiłku. Ale potem wdarło się coś, czego nie planowała. Widok Tao biegnącego obok kogoś innego. Zapatrzonego w niego tak samo, jak dawniej w nią. Uczucie straty ścisnęło ją od środka.

Do kształtu wdarł się cień. Najpierw ledwo widoczny, potem coraz większy. Próbowała go powstrzymać, ale im mocniej się starała, tym szybciej przejmował całość. Było już za późno – osiadł głębiej, zmieniając to, co powstawało.

Oddech przyspieszył, a dłonie drżały. Ciało napięło się, jakby broniło się przed czymś, co przejmowało jej wolę. Mech pod palcami stał się nagle zimny jak lód.

Gaja otworzyła oczy gwałtownie, jak wyrwana z transu. Serce waliło w piersi, kark miała wilgotny od potu. Tao stał kilka kroków dalej, z nastawionymi uszami

i pyskiem wysuniętym w przód. Był niespokojny. Wpatrywał się w coś za jej plecami.

Dziewczyna odwróciła się powoli.

Na krawędzi światła stał… wilk. Duży, ciężki, o futrze tak czarnym i lśniącym, że zdawało się wchłaniać noc. Sylwetka nieruchoma, mięśnie napięte. Oddychał spokojnie, ciężko i równo. Oczy miał żółte, szeroko otwarte, wbite w nią bez mrugnięcia.

Tao zrobił krok naprzód i zawarczał nisko. Zęby błysnęły w półmroku. Gaja szybko podniosła rękę, zatrzymując go.

Wilk nie drgnął. Patrzył tylko, prosto na nią. W jego spojrzeniu nie znajdował się strach ani uległość – tylko nieugięta pewność, jak gdyby to on był tu gospodarzem.

Cisza stała się tak silna, że każdy oddech wydawał się zbyt głośny.

Wilk po chwili cofnął się o krok, potem jeszcze jeden, wciąż nie odrywając od niej wzroku. Kiedy zniknął w cieniu, miała wrażenie, że nadal czuje na sobie jego spojrzenie.

Tao pozostał napięty, gotów do biegu. Gaja też stała nieruchomo. Chłód rozchodził się po jej ciele, jakby wniknęła do niego noc.

Serce biło szybko, w piersi narastał ucisk. Wiedziała, że to stworzenie jest częścią niej, a jednocześnie czymś

obcym. Czymś, co może ją zignorować… albo sprzeciwić się jej woli.

Żółte oczy wciąż wisiały przed nią, ostre i niewzruszone. Nie potrafiła ich odsunąć, bo czuła, że jeśli o nich zapomni, pewnego dnia zobaczy je z bliska.

Pierwszy raz naprawdę się bała. Wiedziała, że jej świat nie zazna już dawnego spokoju.



11. Nurt

Gaja patrzyła na świat, który rósł wokół niej i widziała, że wciąż jest nieukończony. Radość z poprzednich dni była stłumiona w środku. Ostatnie stworzenie wciąż wracało do niej w myślach. Nie nazwała go jeszcze, ale jego cień zjawiał się jej przed oczami.

Ruszyła drogą do jaskini. Znała te ścieżki, a jednak każdy krok był obcy. Las, który niedawno niósł śpiew, nagle zamilkł. Na mchu widać było ślady łap – świeże, głębokie, z wyraźnie odciśniętymi pazurami.

Liście poruszały się bez wiatru. Gałęzie odzywały się rzadko i twardo. Przy każdym szeleście jej oddech urywał się krótko.

Pomyślała o Tao. Zwykle czuła za plecami jego ciepło i spokojny oddech. Dziś jednak wybrała drogę sama. Nie chciała, by stanął między nią a wilkiem. Po raz pierwszy czuła obawę o kogoś bliskiego. Jej drugi dom, w jej głowie, stał się możliwą pułapką.

Dotarła do groty, którą zaczęła nazywać jaskinią źródła. Kamienie przy wejściu były chłodne i mokre. Woda płynęła jak zawsze, ale jej szum wydawał się mieć niższy ton.

Na dnie strumienia widać było ciemne smugi i osad. Stojące w świetle drzewo wydawało się przeciążone. Kora zmatowiała, a liście opadły bez połysku.

Cofnęła się o krok. Zawahała się, czy podejść bliżej. Usiadła przy wodzie i spojrzała w taflę. W jej odbiciu zobaczyła własną twarz, ale oczy patrzyły inaczej – bez dawnego ciepła.

Przyglądając się im, dostrzegła podobieństwo do zwierzęcia, które tak ją przeraziło.

Wrócił sens słów mamy. Wszystko, co tworzyła, nosiło jej puls. Ciemność, którą powołała, tak naprawdę znajdowała się głęboko w niej.

Objęła kolana i trwała w bezruchu. Oczy szczypały, lecz nie popłynęły z nich łzy. Czuła, że gdy spadną, puści coś, czego nie będzie w stanie zatrzymać. Musiała znaleźć rozwiązanie, sposób na odnalezienie równowagi. Nie mogła wypierać cienia, tylko wskazać mu granicę. Jak nurt, który trzyma się koryta.

Zanurzyła dłoń w wodzie. Była zimna i spokojna. Wyprostowała palce, jakby chciała zatrzymać prąd.

– Zwolnij – pomyślała. – Poczekaj na mnie.

Wbrew jej poleceniu, woda nie zmieniła swojego tempa. Obmyła skórę i popłynęła dalej, kompletnie ignorując jej pragnienie.

– Stań – spróbowała ponownie.

Na moment prąd zawahał się i zawirował. Zaraz wyślizgnął się bokiem i potoczył dalej. Świat nie odpowiedział, jak chciała. Nie dlatego, że był przeciwko niej. Po prostu pozostał sobą, niezależnie od jej woli.

Siła zeszła z niej nagle. Klęcząc na mokrej ziemi, oddychała krótko i ciężko, a mięśnie ramion drżały. W palcach czuła utrzymujący się chłód i sztywność, jak po długim zacisku. Po chwili usiadła zrezygnowana, oparła plecy o skałę, zamknęła oczy i uspokoiła oddech.

Krótko po tym wstała i odeszła od wody. Wychodząc z jaskini, nie czuła zawodu. Znalazła w niej odpowiedź, jakiej poszukiwała. Nie miała na celu zmienienia biegu rzeki. Chciała zrozumieć, ile potrafi.

Wędrując przez las już po zmroku, w którymś momencie położyła się na plecach i patrzyła w niebo. Gwiazdy układały się w figury, znane jej z dziecięcych zabaw. Przez chwilę miała wrażenie, że niebo patrzy w dół, wprost na nią.

Zamknęła oczy. Pozwoliła obrazom zsunąć się niżej. Pojawiały się ciała i ruchy. Kształty gotowe do biegu, do skoku i lotu. Szyje wyciągnięte po wodę i łapy napięte do wysiłku. Świat, który mógł powstać, jeśli go wypowie.

Nie pamiętała chwili, gdy zasnęła. Obudził ją trzask w zaroślach. Usiadła gwałtownie. Serce uderzało szybko i ciężko, tętno wręcz dudniło w jej uszach.

Poranne światło stało nisko nad polaną. Coś poruszyło się przy skraju traw i krzewów. Małe sylwetki wyskakiwały i znikały. Pojedyncze piski przerywały ciszę.

Dostrzegła zwierzęta, które kilka godzin wcześniej widziała na niebie. Wezwała je… powołała do życia we śnie, jak wtedy, gdy będąc małym dzieckiem, stworzyła Tao.

Dalej, nad wodą, stały wyniosłe istoty o długich szyjach i porożach przypominających ostre gałęzie. Trzymały głowy wysoko, ale każdy mięsień był gotowy do ruchu. Marszczyły nozdrza i prostowały uszy. Oczy miały szeroko otwarte i czujne. Jedno z nich uderzyło nagle kopytem o ziemię, a głośne echo przeszło po polanie.

Jeszcze głębiej, przy cieniu pni, pojawiła się większa sylwetka. Powoli unosiła gęsto zarośniętą głowę. Ciężar ciała uginał ziemię. Każdy krok zostawiał głęboki ślad. Za nią krążyły mniejsze stworzenia, szarpały się i chrumkały, aż coś je spłoszyło i rozlały się między drzewa.

Gaja przyglądała się nowemu życiu z tłumionym zachwytem. Widząc jego piękno, wstrzymała na chwilę oddech, aż z jej ust wyrwał się śmiech. Krótki i niepewny, pierwszy od dawna. Niedługo później zgasł jednak, zostawiając po sobie szybki oddech.

Polana zastygła. Świat przyglądał się jej uważnie i czekał.

– Moje dzieci – powiedziała cicho.

Zamknęła oczy na moment, żeby przypomnieć sobie pustkę sprzed nocy. Otworzyła je i ponownie zobaczyła to, co przyniosła.

Każda istota miała własną barwę życia. Jedne drżały nerwowo, inne patrzyły z prostą ufnością, jeszcze inne stały pewnie, ciężkie jak ziemia po deszczu.

Wilk z poprzednich dni wciąż siedział w pamięci, ale nie było go w tym miejscu. Nie było po nim śladu w oczach tych, które właśnie na nią patrzyły. W tej chwili las wybierał światło, a cień został w tyle. Wciąż istniał, ale nie rządził.

Wróciła do jaskini i ponownie zanurzyła dłoń w wodzie. Tym razem nie prosiła i nie próbowała powstrzymać nurtu, tylko podążyła za jego ruchem. Uniosła palce, gdy strumień się wzmagał i opuszczała, gdy słabł. Poczuła, jak napięcie schodzi jej z karku. Rozumiała już, że nie musi walczyć.

Po chwili wzięła głęboki wdech i zbliżyła się do drzewa. Tuż po tym dotknęła jego kory. Jak dawniej, czuła pod palcami jego ciepło i puls, po czym wyszeptała cicho:

– Jestem.

Drzewo odpowiedziało kilkoma wiązkami światła rozchodzącymi się pod dłonią dziewczyny.

Opuściła jaskinię lżejsza. Odzyskała to, czego poszukiwała od dawna – harmonię. To był spokój, który pozwalał jej być sobą, dokładnie ten, który dawał jej siłę.

Wędrowała wolno, obserwując otoczenie. Pozwalała naturze decydować o własnym kształcie. Przyglądała się jej i słuchała.

Zobaczyła ślady nocnych zwierząt – rozgarnięty mech, odciśnięte racice, ale i połamany cienki pęd. Tam, gdzie coś przeszło ciężko, wyrastały jednak grubsze rośliny. Tam, gdzie coś skakało lekko, trawa była sprężysta. Las nie cierpiał, tylko dostosowywał się do swoich nowych mieszkańców.

Z dala dobiegło krótkie szczeknięcie. Odwróciła głowę. W gęstwinie mignął Tao. Zatrzymał się między krzakami, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu. Drgnęły mu uszy i zaraz zniknął. Nie zawołała go. Zrozumiała, że czasem musi iść przodem, a on może podążać własną ścieżką.



12. Wyprawa

Poranek był jasny i ciepły. Gaja obudziła się wcześniej niż zwykle, z napięciem w ciele, jakie pchało ją do ruchu.

Tao siedział tuż obok, z wysuniętym językiem i ogonem merdającym w rytmie, który znała na pamięć. Podrapała go po karku i za uchem, tam gdzie zawsze przechylał głowę.

– Chodź, coś ci pokażę – szepnęła i wstała, a on podniósł się od razu.

Las przyjął ich miękkim światłem i orzeźwiającym chłodem liści. Powietrze pachniało wilgotną korą i mchem. Gaja biegła przodem, a Tao gonił ją poszczekując, jakby potwierdzał każdy jej ruch.

Nad głowami przeciął powietrze smukły cień. Spomiędzy krzewów przemykały drobne, zwinne zwierzęta. Z gęstwiny wyszła masywna włochata sylwetka podobna do bizona. Zatrzymała się na moment, zmrużyła oczy, przeniosła ciężar i odeszła bokiem.

Dziewczyna zatrzymywała się co chwilę. Wskazywała Tao świeże tropy, odciski racic przy strumieniu, pióra zawieszone na krzewach. Śmiała się głośno, a on okrążał ją szeroko, po czym wracał na

skinienie dłoni, raz po raz zaglądając jej w oczy, gdy dotykała jego ciepłej sierści. Pomimo licznych form życia wokół, w tej chwili tak naprawdę liczyli się tylko oni i znaczenie miejsca, które wyrosło z jej woli.

Zapach zmienił się w jednej chwili. Wiatr przyniósł go z głębi. Tao nagle zamilkł. Ogon opadł. Podniósł nos wysoko, nozdrza zadrżały, a łapy stanęły równo.

Gaja zatrzymała się, a jej śmiech urwał się w pół oddechu. Ucichł śpiew ptaków i szum liści. Zawisła nad nimi cisza, w której słychać było tylko ich oddechy.

Tao przestał na nią patrzeć. Wzrok wbił w gęstwinę. Cofnął się o pół kroku i osiadł niżej na łapach. Z gardła wydobyło się krótkie, niskie warczenie.

Chłód przeszedł po karku dziewczyny. Dłonie od razu zrobiły się wilgotne, a ciało odruchowo chciało się cofnąć. Zacisnęła zęby, nabrała powietrza głęboko i równym ruchem opuściła ramiona.

– Jestem dobra – powiedziała w myślach. – Las to ja. Nie zrobi mi krzywdy.

Zrobiła krok do przodu.

Z korony poderwał się szelest skrzydeł zerwanego do lotu ptaka. Tao wysunął się przed nią, a sierść na jego grzbiecie najeżyła się.

Z cienia wyszło to, czego oboje się obawiali najbardziej – wilk. Krok po kroku, bez pośpiechu, szedł

dumnie w ich kierunku. Duży, zbity, z żółtym błyskiem w oczach i ogonem zawieszonym sztywno i nisko.

Zatrzymał się naprzeciwko i patrzył. Zaznaczał miejsce. Swoją postawą pokazywał wyraźnie, że to jego teren.

Gaja wzięła oddech krótko i wypuściła go bez dźwięku. Nie odczytała sygnału. Zobaczyła tylko zagrożenie, rosnące z każdym uderzeniem serca. Podniosła rękę chcąc dać zwierzęciu sygnał do wycofania.

Pies, wyczulony na jej lęk, przyjął to jak rozkaz. Wysunął pierś, stanął między nimi i z przejęciem warknął nisko.

Wilk, sprowokowany, nie cofnął się, tylko zrobił jeden pewny krok w ich stronę.

Tyle wystarczyło, by Tao ruszył do ataku. Biegnąc ile sił w łapach, po chwili stał oko w oko ze znacznie większym od siebie przeciwnikiem.

W swój ruch włożył całą energię i z poświęceniem rzucił się drapieżnikowi do gardła. Szarpiąc go, wyglądał jakby nie znał żadnego lęku.

Wilk zawył i cofnął się, wyraźnie odczuwając atak. Nie trwało to jednak długo. Wstrząsnął gwałtownie głową, aż pies przy kolejnej próbie ataku, runął w trawę.

– Tao! – krzyknęła Gaja.

Odwrócił do niej głowę na ułamek chwili. Był jeszcze z nią, wciąż obecny w tym jednym spojrzeniu, które znała na pamięć.

W tej samej chwili wilk wyskoczył z boku i chwycił go za szyję. Ciężkie ciało zwierzęcia uderzyło z całą siłą, a ostre kły wbiły się głęboko w jego skórę.

Przeraźliwy krzyk Gai rozerwał ciszę, ale nie zatrzymał niczego… już nie był w stanie.

Tao szarpnął się gwałtownie, próbując wyrwać się z uścisku. Łapy rozgarniały ziemię i trawę, lecz siła w nich gasła z każdym kolejnym ruchem.

Wydał z siebie krótki, stłumiony dźwięk, między jękiem a warczeniem. Z pyska spłynęła krew, wolno opadając na ziemię.

Jeszcze raz uniósł ucho, jeszcze raz spojrzał w jej stronę, jakby chciał upewnić się, że Gaja widzi jego ostatni wysiłek. Potem ciało zwiotczało i opadło bezwładnie.

Wilk pozostał nad nim chwilę. Stał nieruchomo, oddychał głęboko, a para biła mu z pyska w wilgotnym powietrzu.

Jego oczy spotkały się z przerażonym spojrzeniem Gai, lecz nie było w nich triumfu. Potem cofnął się i wolno zniknął między drzewami.

Dziewczyna kompletnie zesztywniała, nie poruszyła się ani o krok. Patrzyła na Tao i miała wrażenie, że nie

pamięta, jak oddychać. Świat nagle stał się zupełnie nieruchomy. Każdy dźwięk, każdy ruch, który jeszcze chwilę temu tworzył tętniący życiem las, teraz ucichł.

Cisza nie trwała długo. Pękła głęboko w niej i wydostała się na zewnątrz przeszywającym krzykiem. Nie miała nad nim żadnej kontroli, wydobył się z samego środka, mocny, przeciągły, aż powietrze drżało wokół.

Ptaki zerwały się nagle, drobne zwierzęta uskoczyły w popłochu, a konieczność ucieczki rozlała się po całym lesie.

Niebo ciemniało z każdą sekundą. Wiatr uderzył w korony drzew i potrząsnął nimi jednym ruchem. Tuż nad polaną rozległ się grzmot. Rozniósł się tak nisko, że ziemia pod nogami zadrżała. W tej samej chwili głos Gai uciął się nagle, jakby ktoś wyrwał go prosto z jej gardła. Zostało echo rozbijające się od drzew i wzgórz.

Po chwili spadł deszcz. Najpierw pojedyncze krople, ciężkie i powolne, zamieniające się szybko w gęstą ścianę wody. Rozbijała się o liście, o ziemię, o ciało Tao, aż wszystko wokół stało się ciemne i mokre.

Na skraju lasu stali już Reya i Kaon. Wybiegli z domu, lecz nie zawołali imienia córki. Patrzyli w jej stronę, w środku szalejącego deszczu i huraganu, i wiedzieli, że burza nie przyszła z nieba, tylko z ich dziecka.

Gaja podeszła powoli do Tao i pochyliła się nad nim. Wsuwając delikatnie dłonie pod jego ciało, poczuła jego

ciężar. Był inny niż kiedykolwiek wcześniej, jakby nie dało się go udźwignąć. Mimo to wstała razem z nim i ruszyła w stronę domu.

Deszcz oblepiał jej włosy i ubranie, spływał po dłoniach, zmywał krew z pyska Tao.

Kolory wokół mieszały się ze sobą, aż wszystko stawało się jednakowo szare. Szła przed siebie, nie myśląc o tym, co będzie dalej. W jej głowie nie było żadnych słów. Była tylko pustka i ten marsz.

Burza ucichła tak nagle, jak się zaczęła. Zostało tylko gęste i nieruchome powietrze o ciężkim zapachu mokrej ziemi.

Rodzice, których mijała, jedynie odsunęli się na bok. Nie dotknęli jej, nie zadali żadnego pytania. Wiedzieli, że w tym momencie nic nie może jej pomóc.

Gaja położyła Tao przy progu domu i usiadła obok niego. Wierzyła jeszcze, że może to jakoś naprawić, odwrócić to, co się stało… wierzyła, że jej dar na to pozwoli.

– Obudź się… – wyszeptała, tak cicho, że ledwo mogła usłyszeć siebie.

W jej głosie była zarówno nadzieja, jak i rezygnacja.

– Proszę, otwórz oczy – powtarzała.

W myślach dziewczyny, mignęło wspomnienie, gdy pozbawiona nadziei, zagubiona i oparta o kamień wołała go, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

– Nie możesz… – powiedziała, jak wtedy. – Wróć do mnie…

Czekała, wciąż z dłonią opartą na jego boku. Powtórzyła to jeszcze kilka razy, licząc, że spełni się jej pragnienie. Czekała, aż zrozumiała, że nikt już nie odpowie.

Reya kucnęła kilka kroków dalej. Oplotła ramiona i wsunęła dłonie pod łokcie, jakby musiała zatrzymać je przy sobie, by nie wyciągnęły się w stronę córki. Kaon stał obok w milczeniu i tylko patrzył z opuszczonymi rękami.

Gaja przesunęła dłonią po karku Tao, w miejscu, gdzie często drapała go przed snem. Tym razem nie było żadnej odpowiedzi.

Zamknęła oczy, a przez jej pamięć przeszły kolejne obrazy – chwile, w których szedł przy jej nodze, kiedy zasypiał obok, kiedy pierwszy raz oddalił się z nią od domu. Serce zacisnęło się boleśnie, a na jego pysk spadła łza i wsiąkła w mokrą sierść.

Po dłuższej chwili podniosła głowę i spojrzała na rodziców. Ich milczenie było właściwe.

Oparła czoło o bark psa i została tak kilka oddechów, a potem powoli wyprostowała się i wygładziła sierść na jego szyi. Nie szukała słów, nie musiała.

To była śmierć. Pierwsza, której naprawdę dotknęła. Nie sen, nie coś, co można odwrócić albo wyśnić na nowo. Tao leżał obok niej, ale znajdował się już daleko. Jej dar sięgał życia, lecz był bezsilny wobec śmierci.



13. Jesień

Cisza po burzy była cięższa niż jakakolwiek z poprzednich. Nie niosła ulgi, nie obiecywała nowego początku. Była jak zatrzymany oddech, jak oczekiwanie na dźwięk, który już nigdy nie nadejdzie.

Gaja leżała przy Tao. Jej dłoń spoczywała na jego boku, w miejscu, gdzie zawsze czuła spokojny rytm oddechu. Teraz nie było nic.

Reya i Kaon nie zbliżyli się, jakby granica wyznaczona bólem należała tylko do niej. Widzieli, jak ich córka szepcze słowa, których nie rozumieli, jak dotyka pyska zwierzęcia. Odrobiną własnego tchu próbowała przywrócić mu życie. Dar, który zawsze odpowiadał, teraz milczał.

Kiedy wreszcie podniosła się z ziemi, czuła się jak ktoś inny. Jej serce było zimne i twarde jak kamień. Spojrzała na las. Piękno, które znała, nagle zniknęło. W tej chwili widziała w nim jedynie pułapkę… miejsce, gdzie za każdym pniem kryje się śmierć. Strach sączył się z niej jak trucizna, przenikał w ziemię i powietrze.

Wyszła w jego stronę. Nogi same poprowadziły ją tą samą ścieżką, którą codziennie pokonywali razem z Tao. Tu zawsze zatrzymywał się przy kamieniu, kawałek dalej gonił swój ogon, a jeszcze dalej płoszył go szelest liści.

Teraz ścieżka była tylko ścieżką, a kamień zwykłym głazem. Ziemia pod stopami zapominała ślady jego łap. Miejsce, które dotąd było jej schronieniem, stało się niebezpiecznym źródłem cierpienia.

Wszystko wydało się szare. Słońce ukryło się głęboko za chmurami, jakby nie chciało patrzeć na jej ból.

Z policzków dziewczyny znowu spadły łzy, a z chmur deszcz. Krople były ciężkie i zimne. Płynęły po pniach, rysując na nich czarne smugi, a powietrze pachniało zmęczeniem. Trawa, którą znała jako żywą i miękką, przygasała pod jej stopami, jakby sama nie chciała już rosnąć.

W nieskończonym żalu mijały kolejne dni, które zaczęły wyglądać tak samo. Gaja chodziła między drzewami jak cień. Zwierzęta uciekały, zanim zdążyła je dostrzec. Ptaki milkły, kiedy przechodziła. Nawet te, które dawniej towarzyszyły jej w drodze, teraz odlatywały, jakby jej obecność była ostrzeżeniem.

– Odejdą – szepnęła pod nosem. – Wszyscy odejdą…

Raz po raz odwracała się za siebie – czasem w lęku przed drapieżnikiem, a czasem w nadziei, że zobaczy Tao. Ale za każdym razem była tylko pustka, ta sama, którą nosiła w sercu.

W końcu pomyślała, że jeśli zatrzyma wszystko w miejscu, nic już nie zginie. Siadła więc pod drzewem, zaciskała dłonie na ziemi i szeptała:

– Stój. Nie rośnij. Nie zmieniaj się.

Ziemia odpowiadała, ale nie tak, jak pragnęła. Liście żółkły i opadały w jednej chwili, kory rozchodziły się w pęknięciach, a strumień, który dotąd był stabilny, mętniał i zwalniał, jakby ktoś go dusił.

Im mocniej próbowała zatrzymać las, tym szybciej obumierało wszystko wokół. Świat konał, a ona czuła, że to przez nią – jakby jej cierpienie stało się jego chorobą.

Pewnego popołudnia wydarzyło się coś, czego Gaja chciała najmniej.

Wędrując znanymi ścieżkami, między pniami dostrzegła cień. Zbyt zwarty, by mógł być mgłą. Potem zarysowało się więcej – kontur pyska, podniesione uszy, łopatki napięte pod mokrą sierścią… Nieruchome stworzenie, jakby sam deszcz nie miał do niego dostępu. To był on… wilk, który odebrał jej Tao.

Gaja zamarła. Zatrzymała się w półkroku, oddychała krótko, płytko. Patrzyła na niego, a oczy zaczęły piec, jakby same broniły się przed tym widokiem.

– Nie patrz na mnie… – szepnęła.

Wilk nie drgnął. Stał wciąż tak samo, jakby był silniejszy od jej żalu.

Gaja poczuła, jak serce zaczyna bić szybciej i mocniej… zbyt głośno, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz.

Zacisnęła dłonie w pięści. Palce zesztywniały, paznokcie wbiły się w skórę, a oddech urywał się krótko.

Chciała szybko odejść z tego miejsca, odwrócić się od sprawcy jej bólu i zniknąć w lesie. Nie było to jednak możliwe – nogi okazały się zbyt ciężkie, jakby chwyciły je korzenie roślin i trzymały mocno pod ziemią.

Wtedy coś w niej pękło. Nie w krzyku, nie w geście, ale głęboko wewnątrz ducha.

Moc, którą znała od zawsze jako ciepło, jako drżenie życia, w jednej chwili zaczęła płynąć inaczej. Twardo i chłodno.

Ziemia pod jej stopami zrobiła się sztywna, jakby w jednej chwili wyschła w środku, choć wciąż była mokra od deszczu. Na gałęziach osiadały ciężkie krople, które sztywniały i pękały pod własnym ciężarem.

Chłód rozszedł się falą, aż powietrze zaszumiało ostrzej.

Nagle pod stopą coś pękło. Gaja spojrzała w dół w przestraszeniu.

Kałuża, jeszcze przed momentem rozedrgana od deszczu, zatrzymała się i… zamieniła w lód. Na

powierzchni odbiła się jej twarz – blada, obca i skrajnie wyczerpana.

Przykucnęła, jakby zbliżenie wzroku mogło coś zmienić.

– To ja? – mruknęła do siebie.

Lód rozchodził się coraz szybciej, wciągając jej odbicie głębiej pod powierzchnię i zamykając w bezdźwięcznym szepcie.

– Nie… proszę, stój…

Dłońmi dotknęła lodu, jakby chciała go zatrzymać, ale zimno tylko wgryzło się głębiej w jej skórę.

Za późno. Powierzchnia zamarzła, a twarz rozmyła się i zniknęła gdzieś pod nią.

Gaja osunęła się na kolana. W swojej bezsilności zrozumiała, że nie ma już nad niczym kontroli. Uświadomiła sobie, że to nie las się rozpadał, lecz jej złudzenie, że jest w stanie zatrzymać cały świat i ocalić go przed stratą.

Po chwili podniosła niepewnie głowę. Wilk wciąż tam był. Żółte oczy patrzyły na nią nieprzerwanie, jakby dobrze znały cały ciężar, który właśnie nosiła w sobie.

Jeszcze chwilę trwał w spojrzeniu, a potem spokojnie odszedł. Bez pośpiechu i bez dźwięku. Rozpłynął się w lesie, jakby był jego częścią.

Brak kontroli nad życiem oddawał wewnętrzne rozbicie Gai. Jej własne dzieło okazywało się nieprzewidywalne i niezależne od jej woli.

Lęk, który nią kierował, doprowadzał do kolejnych tragedii i wyzwań. Strata przyjaciela była wynikiem jej własnej decyzji, a umierająca właśnie natura – jej spotęgowanym skutkiem.

Trwająca do niedawna beztroska stawała się jedynie mglistym wspomnieniem.

Wraz z narastającą przez lata chęcią tworzenia, dziewczynka zamieniała się w dorosłą kobietę, którą rzeczywistość brutalnie uczyła odpowiedzialności.



14. Mróz

Zima przyszła nagle i bezlitośnie, jak echo po krzyku, który rozdarł niebo. Świat skulił się pod pierzyną śniegu, a każdy dźwięk zdawał się zamierać w mroźnym powietrzu. Gaja patrzyła na białą pustkę, gdzie wszystko wyglądało na martwe i mroźne, jak jej serce po stracie.

W domu panowała ciężka cisza. Kaon stał przy kominku, wpatrzony w wątły ogień, który zdawał się walczyć z chłodem. Jego szerokie ramiona, zwykle tak pewne, teraz uginały się pod niewidzialnym ciężarem.

– Powinniśmy byli ją powstrzymać – powiedział do Reyi po długim milczeniu. – Zbyt mocno ufaliśmy. Wierzyliśmy, że jej dar zawsze będzie łaskawy. A teraz… to jest cena naszej wiary. – Wskazał głową w stronę okna. – Zamraża własne wnętrze, a wraz z nim cały świat. Zabija wszystko, co stworzyła.

Reya siedziała obok, nieruchoma, jakby sama próbowała ogrzać się w tym skąpym świetle ognia. Jej dłonie zaciskały się, choć sama tego nie zauważała.

– Nie mogliśmy jej chronić przed sobą samą – odparła cicho, ale stanowczo. – To jej droga. Naszą jest walka z wiatrem i mrozem. Musimy czekać, tylko tyle możemy.

– Twoje czekanie nie napełni spiżarni – odparł ponuro.

– A twoja złość nie otworzy jej serca. To nie jest bierność, Kaon. To inny rodzaj siły.

– To jest przyzwolenie na śmierć.

– To wiara, że pod śniegiem wciąż drzemią nasiona.

Na zewnątrz świat stał się bezwzględny. Mróz nie był już metaforą – stał się fizycznym faktem. Strumień, który tydzień temu jeszcze pluskał cicho, teraz zamilkł całkowicie. Woda skamieniała aż do dna, zatrzymując w sobie ostatnie opadłe liście i połamane gałęzie.

Gaja widziała to wszystko. Sarna przystawała nad zamarzniętym jeziorem, próbując rozbić lód, by dotrzeć do wody. Jej oddech unosił się w powietrzu jak duch, po czym znikał.

To nie był już jej las – pełen szeptów, kolorów, życia. To była mapa strat. Każde zamrożone źdźbło trawy, każda pęknięta pod mrozem kora, każda sztywna łapa małego stworzenia. Płakała, ale nie przynosiło to ulgi, tylko dokładało kolejną warstwę lodu.

Któregoś razu Reya podeszła ostrożnie do córki. Usiadła obok niej i chwyciła ją za zimną, nieruchomą dłoń.

– Tao był częścią ciebie, to dlatego tak cierpisz. Prawdziwe życie zawsze zostawia po sobie ból. I to jest jego wartość – powiedziała cicho.

Gaja drgnęła, ale milczała. Jej wzrok wbity był w dal, poza ściany domu.

Reya spuściła wzrok, jakby mówiła bardziej do siebie niż do niej.

– Wiesz… ja też kiedyś straciłam przyjaciela. Miał na imię Aion. Był ze mną, gdy próbowałam stworzyć życie, zanim wszystko się zawaliło. Towarzyszył mi, aż do końca. A gdy utraciłam kontrolę, straciłam też jego.

Zacisnęła dłonie, bo opowiadanie o tym sprawiało jej ból.

– To złamało mnie tak, że chciałam zniknąć. Wycofałam się. I do dziś nie mogę sobie tego wybaczyć.

Na twarzy Gai poruszył się cień. Powoli, jakby z ogromnym wysiłkiem, odwróciła głowę i po raz pierwszy od wielu dni spojrzała matce prosto w oczy.

– Jak… jak żyć z takim bólem? – wyszeptała zachrypniętym głosem.

– On żyje we mnie. Czasem we śnie czuję jego obecność. Czasem łapię się na tym, że robię coś dokładnie tak, jak on by to zrobił. To nie jest koniec. To zmiana.

– Jak to? – spytała bez przekonania.

– Tao też nie odszedł całkiem, Gaju. Jesteś jego dalszym życiem. Każda radość, którą jeszcze poczujesz, każda rzecz, którą stworzysz, będzie też częścią niego.

Słowa matki trafiły dokładnie tam, gdzie zostały skierowane. Spojrzenie jej córki wyraźnie się zmieniło. Nieznana historia sprawiła, że odnalazła w niej wsparcie. Poczuła, że rozumie przez co teraz przechodzi.

Reya kontynuowała, nie czekając na dalsze reakcje:

– Myślisz w tej chwili o własnej stracie. To normalne, ale to właśnie ona zasłania ci to, co jest najważniejsze.

– Co takiego?

– …że tak jak ty, czuje się teraz każde żywe stworzenie. Każde z nich straciło właśnie kogoś, kto od urodzenia był im najbliższy. Osobę, na którą do tej pory mogli liczyć zawsze i wciąż potrzebują jej najbardziej nie tylko by przetrwać, ale by doświadczać. Uczyć się, odkrywać i cieszyć się z każdej chwili, jaką spędzają w twoim świecie. Wróć dla nich córeczko… wróć dla mnie i przede wszystkim dla siebie…

Niedługo po tym Gaja wyprostowała plecy. Spojrzała znów na las, zasypany śniegiem, lecz przestała widzieć w nim tylko pustkę. W wyobraźni widziała wszystkie stworzenia, które powołała do życia. Reya miała rację – wszystkie teraz cierpiały i czekały. Nie mogła o nich zapomnieć, jej odpowiedzialność nie umarła wraz z Tao.

Podniosła się i bez słów wyszła na zewnątrz. Śnieg skrzypiał ostro pod jej stopami, a wiatr szarpał gałęziami drzew.

Szła coraz głębiej, ku miejscu, gdzie zawsze czuła się częścią natury – do jaskini źródła.

W jednej chwili zrozumiała, że nie jest sama. Coś śledziło jej ruchy, niewidzialne, ale obecne. Kark zesztywniał, a serce przyspieszyło, jakby uprzedzało nadchodzące spotkanie.

Wtedy ponownie zobaczyła tego, kto spowodował jej ból. Między drzewami stał wilk, ciemny i nieruchomy, z oczami jak dwa płomienie.

Gaja zatrzymała się. Serce waliło jej jak młot, lecz nie cofnęła się ani o krok.

Spojrzała na niego, pamiętając do czego doprowadził, jak wiele odebrał. Ale zaraz po tym przyszła myśl, że to ona nadała mu kształt – że był cieniem wszystkiego, czego nie potrafiła unieść.

Rozejrzała się wokół: drzewa uwięzione w lodzie, strumień skamieniały aż do dna, śnieg przykrywający wszystko, co kiedyś tętniło życiem. To też był jego świat – cichy i mroczny. Choć stał się częścią tragedii, którą przeżywała, zdała sobie sprawę, że i on musiał dźwigać jej ciężar..., że był w tym równie samotny jak ona.

Zrobiła krok do przodu. Potem drugi i kolejny.

Wilk również poruszył się, odzwierciedlając jej ruch. Zbliżali się powoli, aż dzielił ich tylko oddech – jego, ciężki i mglisty, i jej – płytki i spięty.

Gaja uklękła. Zmrożony śnieg skrzypnął pod jej kolanami.

Przez chwilę trwała w bezruchu. Czuła jego przenikliwe spojrzenie na sobie.

Będąc tak blisko źródła własnego lęku, czuła jakby dotykała samej granicy tego, co jeszcze potrafi unieść.

Wciąż mogła odejść i pozwolić, by wilk pozostał tylko cieniem ukrytym wśród drzew, ale wiedziała, że ten w niej i tak pozostanie. Mogła go nadal unikać lub w końcu zaakceptować i nauczyć się życia razem z nim.

Uniosła dłonie i objęła jego potężną głowę. Nie było w tym geście czułości, ale głębokie, bolesne zrozumienie. Patrzyła mu głęboko w oczy, znajdując w nich własne odbicie.

– Nie czuję do ciebie żalu – wyszeptała z przejęciem.

Wilk pochylił głowę i musnął jej policzek nosem – w sposób, który nieoczekiwanie przypomniał jej czułe gesty Tao. To nie były przeprosiny, a symboliczny wyraz uznania.

W tej chwili po jej twarzy popłynęły łzy, lecz nie były już gorzkie. Dopiero teraz w pełni zrozumiała słowa matki. Tao nie zniknął, był częścią niej i wszystkiego, co stworzyła.

Po chwili wilk odwrócił się i rozpłynął się w białej gęstwinie. Gaja odprowadziła zwierzę wzrokiem, po czym skierowała go w dół.

Na śniegu, gdzie został ślad jego łapy i chwilę wcześniej wsiąkły jej łzy, wyrastał maleńki, biały kwiat. Był delikatny, zdrowy i czysty, jak nowy oddech.

Gaja poczuła coś, czego nie doświadczała od dawna – nadzieję. Ostrożnie odgarnęła śnieg wokół młodej rośliny. Dotykając gruntu, wyczuła dobrze jej znany puls, jakby ziemia budziła się z głębokiego snu.

Choć zima na zewnątrz wciąż trwała, ta w jej sercu dobiegła końca. Gest, w którym objęła swoją najciemniejszą obawę, rozpuścił żal, zamieniając go w bolesne, lecz wyzwalające zrozumienie. To, co dotąd tylko zamrażało świat, stało się źródłem dla nowego początku.

Tego dnia Gaja przestała być jedynie ofiarą własnej straty, a ponownie stała się odpowiedzialną opiekunką życia.

Lęk, będący dotąd zarówno źródłem jej cierpienia, jak i siłą niszczącą cały żywy świat, przestał wywoływać przerażenie. Nie był dłużej potworem, przed którym trzeba uciekać. Stał się częścią jej samej, którą musiała zaakceptować, by odzyskać kontrolę – cieniem, z którym można nauczyć się żyć, a nie który tym życiem zawładnie.

I choć chłód wciąż pokrywał ziemię, pod jej powierzchnią, tam, gdzie Gaja odnalazła uśpiony dotąd puls, można było wyczuć nieśmiały, ale niewzruszony rytm budzącego się na nowo życia.



15. Nadzieja

Minęły tygodnie, w których po młodzieńczych zabawach pozostało jedynie wspomnienie. Choć wciąż było nasiąknięte żalem, dni przestały płynąć, jakby ktoś wylał na nie chłodną wodę – bez koloru, bez dźwięku, powtarzalnie.

Smutek, który dominował w życiu Gai od śmierci Tao, ustąpił miejsca dojrzałości i akceptacji nowej rzeczywistości.

Nauczyła się żyć w tej ciszy. Jej ruchy stały się wolniejsze, bardziej uważne, jakby każdy gest miał teraz wagę.

To, co wcześniej było naturalną zabawą, teraz ustąpiło miejsca codziennym rytuałom – zbieraniu drewna, sprawdzaniu spiżarni, zaglądaniu do nor i gniazd. Nie było z nią Tao, a wraz z nim zniknęła wszechobecna lekkość i beztroska.

Stopniowo zaczynała akceptować nowe realia – te bez kroków obok, bez nagłych zwrotów głowy w stronę przyjaciela, bez ciepła jego spojrzeń. Został tylko ciężar odpowiedzialności za życie, które wciąż ją otaczało. Świadomość, że każdy nowy dzień to nagroda za wczorajszy wysiłek.

W tym milczeniu i stracie przestała być dziewczynką. Stała się kobietą, która znała już nie tylko jasną stronę życia, ale także jego chłód i nieodwracalność.

Porzuciła świadome tworzenie. Nowe istoty nie rodziły się z jej dłoni. Nie walczyła na siłę z chłodem, który przykrył świat i jej własne serce.

Dawała czas sobie i naturze. Pozwalała na zbieranie sił, jakby miała przeczucie, że odnowa wymaga cierpliwości, a nie gwałtownych gestów.

Tak mijały dni i noce, a wraz z nimi panująca wciąż zima powoli traciła swą moc. Mróz wyraźnie osłabł, a rozpuszczający się śnieg odkrywał kolejne młode pędy – niepewne, ale uparte.

Każda wyprawa do lasu była czymś więcej niż spacerem. Każdy krok miał swój cel. Obserwowała, kto potrzebuje pomocy, kto walczy i kto nie daje rady. Nieraz klękała w śniegu, by odgarnąć gałąź, odsłonić źdźbło trawy, rozbić warstwę lodu na wodzie, by mogła poić osłabione zwierzęta.

Pewnego ranka, idąc między drzewami, usłyszała szarpaninę – dźwięk łamanych gałązek, nerwowe stukanie kopyt. Zatrzymała się i wsłuchała. Po chwili dostrzegła młodą sarnę. Jej tylna noga zaplątała się w zlodowaciałe, zwisające łodygi. Zwierzę stało z szeroko otwartymi oczami, trzęsąc się ze strachu i z wysiłku.

Gaja podeszła powoli, ostrożnie, stawiając stopy tak, by śnieg nie trzeszczał za głośno. Mówiła półgłosem, szeptem, jakby uspokajała własne dziecko.

Wyciągnęła dłonie – palce miała czerwone i obolałe od zimna, ale mimo to cierpliwie rozsuwała splątane witki.

Czuła pod paznokciami szorstkość, słyszała przyspieszony oddech zwierzęcia, który parował w powietrzu.

Gdy uwolniła nogę, sarna przez chwilę jeszcze trwała, jakby nie wierzyła w wolność, a potem odbiegła gwałtownie. Śnieg wzbił się w górę pod jej kopytami. Nie obejrzała się, lecz nikt tego nie oczekiwał.

Gaja została sama, z dłonią wyciągniętą w pustkę. Poczuła w piersi coś więcej niż ulgę. To było ciepłe przekonanie, że wciąż mogła pomagać i tym samym zmieniać świat na lepszy.

Innym razem, gdy słońce ledwie przedzierało się przez nagie gałęzie, znalazła małego ptaka na śniegu. Musiał wypaść z gniazda. Drżał tak mocno, że jego cienkie piórka rozchodziły się w różne strony.

Widziała, jak słabnie z każdą chwilą. Uklękła i wzięła go w dłonie. Jego ciało było tak lekkie, że ledwie mogła je poczuć. Próbowała ogrzać go własnym oddechem, przykładając dłonie do ust i dmuchając powoli.

Jej próby nic nie dawały, traciła go. Zamknęła oczy i spróbowała wezwać w sobie ten impuls, który kiedyś przychodził tak naturalnie – tchnienie, które potrafiło obudzić życie.

Tym razem poczuła tylko pustkę. Jej ręce drętwiały, a ptak, pomimo starań, się nie poruszył. Po chwili zrozumiała, że już nie oddycha. Małe ciałko stwardniało w jej dłoniach.

Zrezygnowana, krótko później odłożyła go pod drzewem. Nie płakała. Kucnęła tylko na moment, patrząc, jak wiatr rozwiewa jego drobne piórka. Zostawiła w sobie to zimno, które wsiąkało przez palce – bez krzyku i łez.

Konsekwencje tej pory, które obserwowała, były brutalne. Przechadzając się po lesie, trafiała na wyschnięte, zmrożone rośliny, na martwe ciała zwierząt, które nie znalazły schronienia ani pożywienia.

Na spokojnych dawniej polanach pojawiały się drapieżniki, które uczyły się polować szybciej i sprytniej, by przeżyć.

Przyglądała się temu z żalem – wiedziała, że każdy taki obraz jest odbiciem procesu, przez który przechodzi sama. Dobrze rozumiała to pragnienie – eliminację słabości, by przetrwać, nawet jeśli serce miało przy tym skamienieć.

Te codzienne spotkania – czasem kończące się ratunkiem, czasem stratą – uczyły ją pokory. Zrozumiała, że nie zawsze można naprawić to, co zepsute. Można jednak było próbować i właśnie z tego zrobiła swój codzienny rytuał. Był dla niej czymś, co nie pozwalało, by coś lodowatego, czające się w jej wnętrzu, znów przejęło nad nią władzę.

Któregoś dnia, gdy słońce podniosło się wyżej i zaczęło topić szron na gałęziach, Gaja ruszyła w stronę miejsca, gdzie zginął Tao. Ścieżka, choć była znajoma, niosła w sobie ogromny ciężar.

Stanęła dokładnie tam, gdzie doszło do tragedii. Ziemia była twarda, pokryta jeszcze cienką warstwą lodu.

Zamknęła oczy. Nie szukała echa tamtych zdarzeń. Poszukiwała czegoś innego – obecności, która od tamtej pory stała się częścią tego miejsca i częścią niej samej.

– Chodź – wyszeptała. Jej głos był cichy, ale pewny. – Nie bój się. Czekam.

Stała nieruchomo, wsłuchując się w ciszę. Słyszała tylko szum wiatru w gałęziach i równy rytm własnego oddechu. Czekała długo, aż w końcu usłyszała cichy, niemal niemożliwy do wychwycenia szelest łap.

Otworzyła oczy.

Był tuż przed nią, znacznie bliżej niż sądziła. Ogromny, z gęstym, ciemnym futrem, z błyszczącymi

oczami. Nie warczał, nie odstraszał i nie szykował się do skoku. Stał spokojnie, jakby jego siła nie potrzebowała niczyich potwierdzeń.

Gaja nie cofnęła się. Jej spojrzenie spotkało się z jego.

– Jesteś… – powiedziała.

Jej głos był równy, bez nuty strachu.

– Takiego cię stworzyłam. Wiem, że jestem taka, jak ty.

Zrobiła krok naprzód. Wilk nie drgnął.

– To nie twoja wina – mówiła dalej, a każde słowo ciężko wisiało w chłodnym powietrzu. – Zrodziłeś się z mojego lęku przed samotnością. Nie możesz sam być przez to samotny. Nie jesteś zły, dobrze o tym wiem. Jesteś… prawdziwy.

Wyciągnęła dłoń. Bez pośpiechu, bez zawahania. Dotknęła futra na jego grzbiecie. Sierść była szorstka, zimna od wiatru, ale pod spodem biło ciepło. Czuła je wyraźnie – było żywe i silne.

Zanurzając palce w gęstej sierści zwierzęcia, zacisnęła je, jakby w ten sposób chciała zamknąć resztki żalu, który pozostał głęboko w niej. To nie był gest pani wobec zwierzęcia. To był ostateczny gest akceptacji.

Wilk pochylił głowę. Nie polizał jej dłoni jak Tao, nie merdał ogonem. Pozwalał na dotyk, a to znaczyło równie wiele.

– Obiecuję, że już nigdy nie będziesz sam – wyszeptała, zaglądając mu głęboko w oczy. – Ja też nie jestem.

Tuż po tym podniosła rękę, odwróciła się i pewnie ruszyła w stronę domu. Nie oglądała się za siebie, lecz słyszała miękkie kroki wilka, co wywołało lekki uśmiech na jej twarzy – pierwszy od pamiętnych zdarzeń, jakie rozegrały się w tym samym miejscu.

Szli razem przez milczący las – ona i ucieleśnienie jej najgłębszego lęku, który ostatecznie przestał być sprawcą, a stał się częścią jej drogi.

Gdy zjawili się przed domem, drzwi otworzyły się natychmiast. Na progu stanęli Reya i Kaon. Na widok wilka twarz matki zastygła w przerażeniu, a ojciec zrobił krok naprzód, jakby chciał zasłonić sobą partnerkę.

Gaja spojrzała na nich. Jej oczy były spokojne, choć w ich głębi czaił się cień smutku, który nie umiał zniknąć.

– Nie skrzywdzi was – powiedziała tylko.

Jej głos nie brzmiał jak prośba ani jak rozkaz. Był stwierdzeniem faktu.

Weszła do środka, a wilk został na zewnątrz. Obejrzał się uważnie, węchem badając chłodne powietrze, po czym ruszył pewnym krokiem, obchodząc budynek dookoła.

Znalazł miejsce pod ścianą, osłonięte od wiatru – suchy skrawek ziemi. Ułożył się tam, skulił łapy pod sobą i położył na nich ciężką głowę, wciąż czujny mimo pozornego spokoju.

Nie wyglądał na intruza. Leżał tam jak strażnik, który sam wybrał swoje miejsce. Jakby stał się częścią nowego porządku.

Gaja podeszła do okna i patrzyła na niego z trwogą. Nie czuła lęku ani ekscytacji, lecz ciężką, nieuniknioną prawdę. Akceptując go, zaakceptowała także odrzuconą część siebie – nie tylko tę, która stwarza, ale i tę, która potrafi sprowadzić zimno i śmierć.

Wilk nie był już koszmarem. Był zwierciadłem. Swoim milczeniem mówił jej więcej niż mogłyby wszystkie słowa.